Cineteca Nacional w Meksyku – raj na ziemi dla kinomanów



Nowoczesny budynek Cineteca National w Mexico City, fot. arch. „Cineteca National”

Andrzej Żurek *(Kanada)*

Dziesięć sal projekcyjnych, muzeum kina, potężne archiwum filmów meksykańskich i zagranicznych (12 000 filmów), pracownia konserwacji i digitalizacji filmów, rozległa księgarnia z bogatym wyborem książek, sale wystawowe, restauracje, kafejki, w programie klasyka filmowa i wyselekcjonowane nowe filmy z całego świata, fabularne i dokumentalne, różne cykle tematyczne, retrospektywy wielkich reżyserów, spotkania z twórcami filmowymi, tydzień lub dwa tygodnie kina francuskiego, japońskiego, meksykańskiego, nordyckiego,

brazylijskiego, irańskiego, polskiego, filmy nowych reżyserów, doroczny przegląd kina meksykańskiego i światowego, filmy nowych reżyserek itd. Wieczorem bezpłatne pokazy filmów wyświetlanych na ekranie umieszczonym na jednej ze ścian kompleksu – przed nią wielki trawnik jako widownia.

Polecam krótki dokument filmowy sprzed kilku lat – https://youtu.be/OKGaolTNJ9w – o wystawie plakatów do filmów Andrzeja Wajdy oraz jego rysunków w sali wystawowej *Cineteca Nacional*, zorganizowanej z okazji retrospektywy jego twórczości (18 filmów).

– W Meksyku? – dziwią się znajomi Kanadyjczycy i Polacy (mieszkam w Kanadzie), kiedy opowiadam im o *Cineteca Nacional*. Odpowiadam, że Meksyk jest potęgą w kulturze (ale żeby o tym wiedzieć, nie można się ograniczać do telewizyjnych *news*, a w podróżach do tego kraju do *beach resorts* i kilku miast Majów na Yucatanie). I dodaję, nie licząc się z konsekwencjami, że miasto Meksyk jest jedną z pięciu, sześciu światowych stolic kultury.

Opisałem główną siedzibę meksykańskiej *Cineteca Nacional*, czyli kinoteki narodowej, w koloniii Xoco miasta Meksyk, zwaną od czasu zakończenia w 2014 r. modernizacji *Cineteca Nacional Siglo XXI* (dwudziestego pierwszego wieku). W tej samej części stolicy powstał drugi kompleks *Cineteca Nacional*, o nazwie

Cineteca Nacional de las Artes,z dwunastoma salami projekcyjnymi, *a* na terenie słynnego parku Bosque de Chapultepec otwarto w zeszłym roku trzeci, o nazwie *Cineteca Nacional Chapultepec*, z dziesięcioma salami projekcyjnymi. Powstały w nim ośrodek szkolenia oferuje bezpłatne studia filmowe. Wszystkie te kompleksy zostały zaprojektowane przez jednych z najlepszych architektów.



Cineteca National, fot. arch. Cineteca National

– Meksykańskich? – Meksykańskich. Meksyk ma znakomitych architektów. Kto tę, imponującą rozmachem, instytucję stworzył i kto ją finansuje? *Secretaría de Cultura*, czyli meksykańskie ministerstwo kultury. *Cineteca Nacional* powstała w 1974 r.; od

tamtego czasu przeszła wiele zmian, ale na szczęście nie zwabia do siebie sesjami zdjęciowymi „na ściance” i czerwonym dywanem. Meksykańskie ministerstwo kultury dba też o małe niezależne kina. Na jednej z jego stron internetowych znalazłem informację o bodaj najstarszym takim kinie stolicy, o *Casa del Cine*, domu kina, „alternatywnym miejscu przybliżającym publiczności siódmą sztukę i szerzącym wiedzę o procesie powstawania filmów”. W programie tego kina i innych, podobnych do niego kin w stolicy, przypominających polskie DKF-y, jest klasyka oraz nowe niekomercyjne filmy meksykańskie i zagraniczne.

Popularyzacją kina artystycznego, meksykańskiego i światowego, zajmuje się też UNAM (od lat 1940., od Złotej Epoki kina meksykańskiego), czyli *Universidad Nacional Autónoma de México*, jeden z największych uniwersytetów świata (ponad 300 000 studentów i 30 000 profesorów i asystentów); jego główna siedziba to miasto w mieście, ze słynną salą koncertową Nezahualcóyotl, salami teatralnymi i kinowymi, z jednym z dwóch muzeów sztuki współczesnej funkcjonujących w stolicy i szeregiem innych instytucji kultury. Uniwersytety tradycyjnie zajmują się i kinem, UNAM czyni to na wielką skalę, korzystając z pomocy *Cineteca Nacional*: obok pokazów współczesnego kina, spotkań z reżyserami meksykańskimi i zagranicznymi i retrospektyw ich twórczości, każdego roku organizuje w stolicy międzynarodowy festiwal filmowy FICUNAM – *Festival*

Internacional de Cine UNAM, z nagrodami w kilku kategoriach.



Cineteca National, fot. arch. Cineteca National

W każdym dużym mieście Meksyku są kina, które prezentują klasykę filmową i nowe niekomercyjne filmy meksykańskie i zagraniczne oraz organizują każdego roku z pomocą *Cineteca Nacional* przegląd kina światowego – *Muestra Internacional de Cine*. Filmy Ceylana, Iñárritu i Kechiche oglądałem po raz pierwszy podczas takich przeglądów w pięknym Teatro Macedonia Alcalá w Oaxace de Juárez, filmy Farhadiego i Zwiagincewa w Cine Teatro Morelos w Cuernavace, tamtejszym *cinema paradiso*. W Oaxace de Juárez i w Cuernavace oglądałem

stare filmy meksykańskie, hiszpańskie i włoskie w knajpkach „dla swoich”: pięć, sześć stolików, na ścianach obrazy miejscowych artystów, raz lub dwa razy w tygodniu pokaz filmu na małym ekranie, późnym wieczorem gra, lub gra i śpiewa, miejscowy muzyk, najczęściej gitarzysta lub gitarzystka. Podczas kilkumiesięcznego pobytu w Puebli często chodziłem wieczorem na darmowe pokazy światowej klasyki filmowej (raj dla licealistów i studentów) w małym kinie na czwartym piętrze budynku urzędu miejskiego. Obejrzałem w nim po raz enty w życiu „Los Olvidados”, „Popiół i diament”, „Wieczór kuglarzy”, „Noce Cabirii” i „Powiększenie”**.** Tygodniowe programy tego kina (każdego dnia inny film) wpadają w ręce w restauracjach i kafejkach centrum i w instytucjach kultury.

Wspomniałem o dwóch festiwalach filmowych w Meksyku, a jest jeszcze wiele innych. Najważniejszym dla kina iberoamerykańskiego jest FICG – *Festival Internacional de Cine* w Guadalajarze– organizowany przez kilka stanowych instytucji kulturalnych i Uniwersytet Guadalajary, najstarszy i największy uniwersytet tego miasta. Ten doroczny festiwal, z nagrodami w kilku kategoriach, prezentuje najnowsze dokonania filmowe krajów Ameryki Łacińskiej oraz Hiszpanii i Portugalii. Kilka meksykańskich festiwali przedstawia kino niezależne, kilka filmy dokumentalne, kilka rdzenne kultury kraju. Wprawdzie, jak chyba wszędzie, króluje w Meksyku kino komercyjne, głównie hollywoodzkie, ale jest w tym kraju wyjątkowo dużo miejsca dla

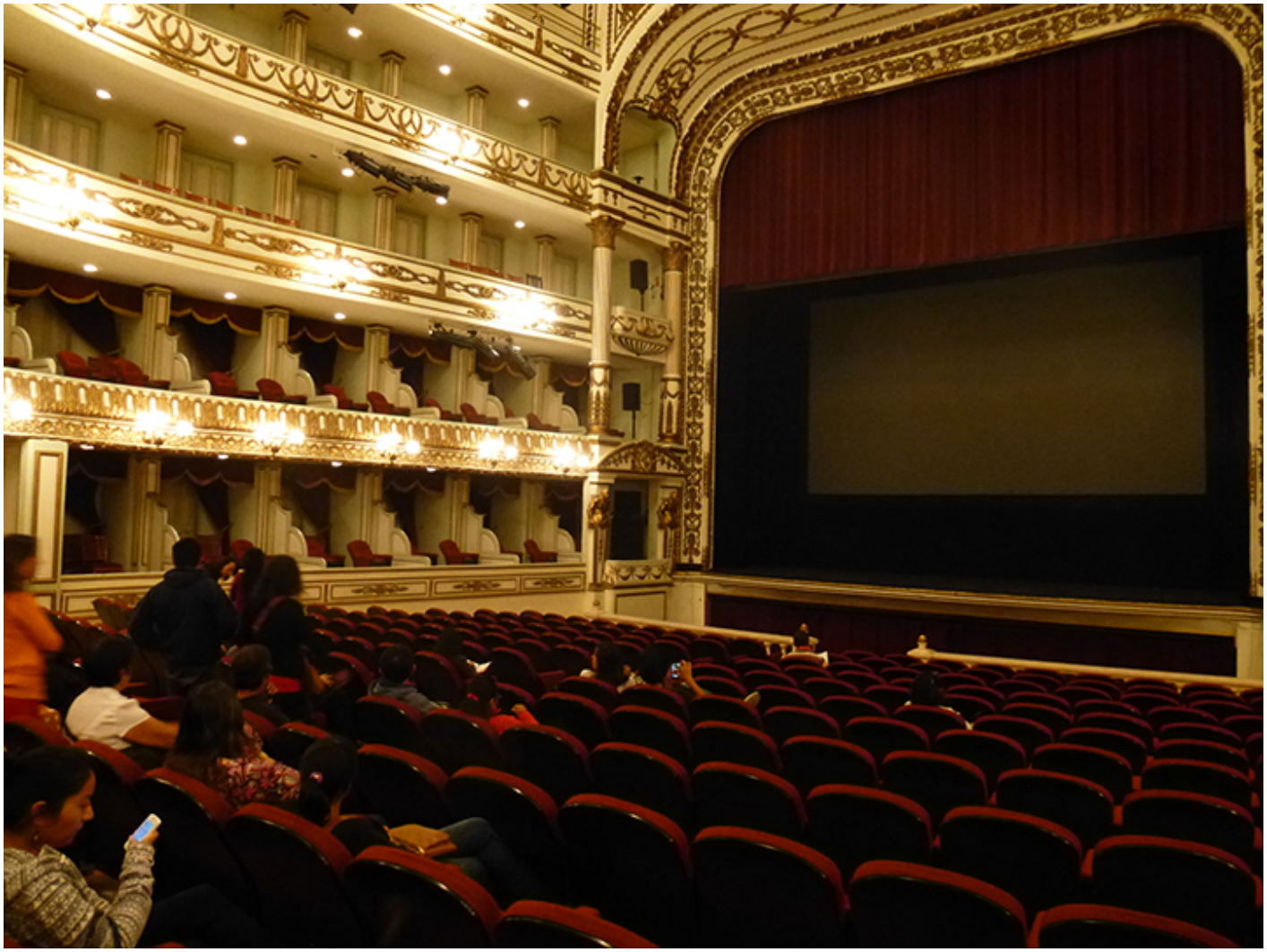
kina artystycznego, własnego i zagranicznego. I szerzej, dla całej kultury wysokiej. Jej upowszechnianiu służy między innymi telewizyjny *Canal 22*, finansowany przez ministerstwo kultury, czyli przez państwo. Część programu tego kanału poświęcona jest kinu meksykańskiemu i światowemu.



Budynek Cine Teatro Morelos w Cuernavace, fot. Andrzej Żurek

Polska kinematografia była prezentowana już wiele razy przez meksykańską Kinotekę Narodową i przez UNAM. Polskie kino jest znane i popularne, kilka razy przypadkowi rozmówcy, zorientowawszy się, że jestem Polakiem, wspominali filmy Wajdy,

Zanussiego, Kieślowskiego, Hasa i Munka. Tego samego doświadczałem w Buenos Aires. Uogólnienia są ryzykowne, ale z mojego doświadczenia i lektur wynika, że wykształceni Meksykanie i Argentyńczycy bardziej się interesują tak zwanym szerokim światem niż Kanadyjczycy i Amerykanie. Dwadzieścia lat temu w Buenos Aires, w trakcie towarzyskiego spotkania, dwaj *porteños* opowiadali mi o polskim filmie, o polskim plakacie, o polskich kompozytorach, o teatrze Kantora, o Miłoszu, Herbercie i Gombrowiczu. Kiedy dziwiłem się, skąd to wszystko wiedzą, oni dziwili się, że się dziwię – tak jakby rzeczy, o których mi opowiadali, były powszechnie znane (oczywiście ich wiedza nie ograniczała się do Polski). Moje zdziwienie było tym większe, że jeden z nich skończył politologię, a drugi ekonomię – a nie kulturoznawstwo, slawistykę czy studia artystyczne. Potem kilka razy przeżyłem podobne zaskoczenie, między innymi w La Paz, w Boliwii. „Papa polaco!”– wykrzykują radośnie mieszkańcy krajów Ameryki Łacińskiej, spotykając w swoim kraju Polaka, ale wielu z nich Polska kojarzy się nie tylko z popularnym papieżem, Wałęsą i kilkoma piłkarzami. W rozmowach z tymi o szerszej wiedzy wspólnym gruntem jest w pierwszym rzędzie kino.



Wnętrze Teatro Macedonio Alcalá w Oaxace de Juárez, fot. Andrzej Żurek

Miłośników sztuki filmowej znających choć trochę hiszpański i gotowych polecieć do stolicy Meksyku na kilka tygodni lub miesięcy, aby codziennie spędzać kilka godzin w głównym kompleksie *Cineteca Nacional,* w kolonii Xoco, zachęcam do znalezienia mieszkania lub pokoju w historycznej części dzielnicy Coyoacán po drugiej stronie pobliskiej Avenida Río Churubusco. W niej między innymi *Museo Frida Kahlo*, *Museo Casa de León Trocky*, *Museo Nacional de Culturas Populares*, jedne z najstarszych kościołów stolicy i *Casa de la Malinche*, dom

indiańskiej tłumaczki i kochanki Hernána Cortésa. Może po wielu wędrówkach po historii brukowanymi ulicami i uliczkami, wizytach w kafejkach i starych *cantinas* i seansach w pobliskiej *Cineteca Nacional* powstanie po powrocie do kraju scenariusz nostalgicznego filmu o nazwie… „Zeszłego roku w Coyoacán”? (Podobieństwo do tytułu znanego filmu francuskiego przypadkowe).

Anna Maria Mickiewicz – 40 lat pracy twórczej



Anna Maria Mickiewicz podczas swojego Jubileuszu w Domu Literatury w Warszawie, fot. Tomasz Mickiewicz

Juliusz Bolek

Anna Maria Mickiewicz – polska pisarka, prowadząca wydawnictwo *Literary Waves Publishing* w Londynie. Od lat mieszkająca w Zjednoczonym Królestwie Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, uczestniczyła w uroczystej gali, z okazji 40-lecia pracy twórczej, na które przyjechała prosto z Londynu, w którym mieszka od wielu lat. Wydarzenie odbyło się w legendarnej auli Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, w maju 2025 roku.

Jak wyglądają ważne wydarzenia literackie w Polsce mniej więcej wiadomo. Publiczność łaskawa i zmanierowana, dumna ze swej

łaski zaszczycania autorów, jednak bywa roszczeniowa. Zupełnie inaczej sytuacja wygląda na tak zwanym Zachodzie, gdzie każde wydarzenie literackie budzi zainteresowanie i szacunek. Wstęp przeważnie jest płatny, podobnie jak książki. Jednym słowem, jak zwykle, między „zachodem" i „wschodem" – przepaść.

Przykro to przyznać Polacy mało wiedzą o współczesnej, światowej literaturze, jeszcze mniej o współczesnych pisarzach, jeśli ich posty nie biją rekordów „klikalności" w Internecie, książki nie znajdują się na czołówkach list rankingowych, a jeszcze mniej wiedzą, jeśli chodzi o polskich pisarzy, mieszkających za granicą państwa. Wśród mało znanych opinii publicznej autorek w kraju jest wybitna poetka Anna Maria Mickiewicz. Dzieje się tak, mimo tego, że pisarka publikuje również książki w Polsce. Jej poezja jest delikatna, wzruszająca, bardzo osobista, wręcz intymna. Z okazji 40-lecia pracy twórczej Anna Maria Mickiewicz, o jej istnienie i wyjątkową twórczość upomniało się Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Żywię głęboką nadzieję, że jubileusz Anny Marii Mickiewicz, celebrowany w Domu Literatury w Warszawie, sprawił, że więcej osób zainteresuje się tą oryginalną twórczością, z korzyścią dla nich samych.

Co prawda, Anna Maria Mickiewicz jest polską autorką, ale od lat mieszkającą, tworzącą i publikującą na tak zwanym „Zachodzie". Wydarzenie dotyczące jej 40-lecia odbyło się w

Warszawie, czyli na tak zwanym „Wschodzie”. Dlatego ogromnie byłem ciekaw jak uroczystość zostanie zorganizowana.



Jubileusz Anny Marii Mickiewicz w Domu Literatury w Warszawie, od lewej: prof. Halina Rarot, prof. Anna Nasiłowska, aktor Andrzej Ferenc, fot. Tomasz Mickiewicz

Galę Anny Marii Mickiewicz zorganizował Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Bardzo interesujące laudacje na rzecz twórczości pisarki wygłosiły prof. Halina Rarot (filozofka) i prof. Ewa Lewandowska-Tarasiuk (filozofka,

polonistka, profesor i członkini Senatu Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (PUNO) w Londynie).

Spotkanie poprowadziła prof. Anna Krystyna Nasiłowska-Rek – pisarka, poetka, krytyk literacki, historyk literatury współczesnej, profesor nauk humanistycznych, profesor zwyczajny Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk i prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Wiersze Anny Marii Mickiewicz w rewelacyjny sposób przedstawił Andrzej Ferenc. Na zakończenie części oficjalnej odbył się wspaniały koncert Akademickiego Kwartetu Smyczkowego *Ucho Beethovena* pod kierunkiem Adama Pietruszki.

Uroczystość stała się przeżyciem zarówno duchowym jak i intelektualnym. Sprawiła to twórczość pisarki, świetna interpretacja poezji w wykonaniu Andrzeja Ferenca, bardzo ciekawe wypowiedzi na temat pisarstwa autorki, wygłoszone przez prof. Halinę Rarot i prof. Ewę Lewandowską-Tarasiuk oraz uczta dla słuchu w wykonaniu Akademickiego Kwartetu Smyczkowego. Całość stanowiła świetną kompozycję.

Po zakończeniu części oficjalnej goście zaproszeni zostali na bankiet, podczas którego poza pysznymi przekąskami i napojami, królowała bardzo miła, serdeczna i bezpretensjonalna atmosfera;

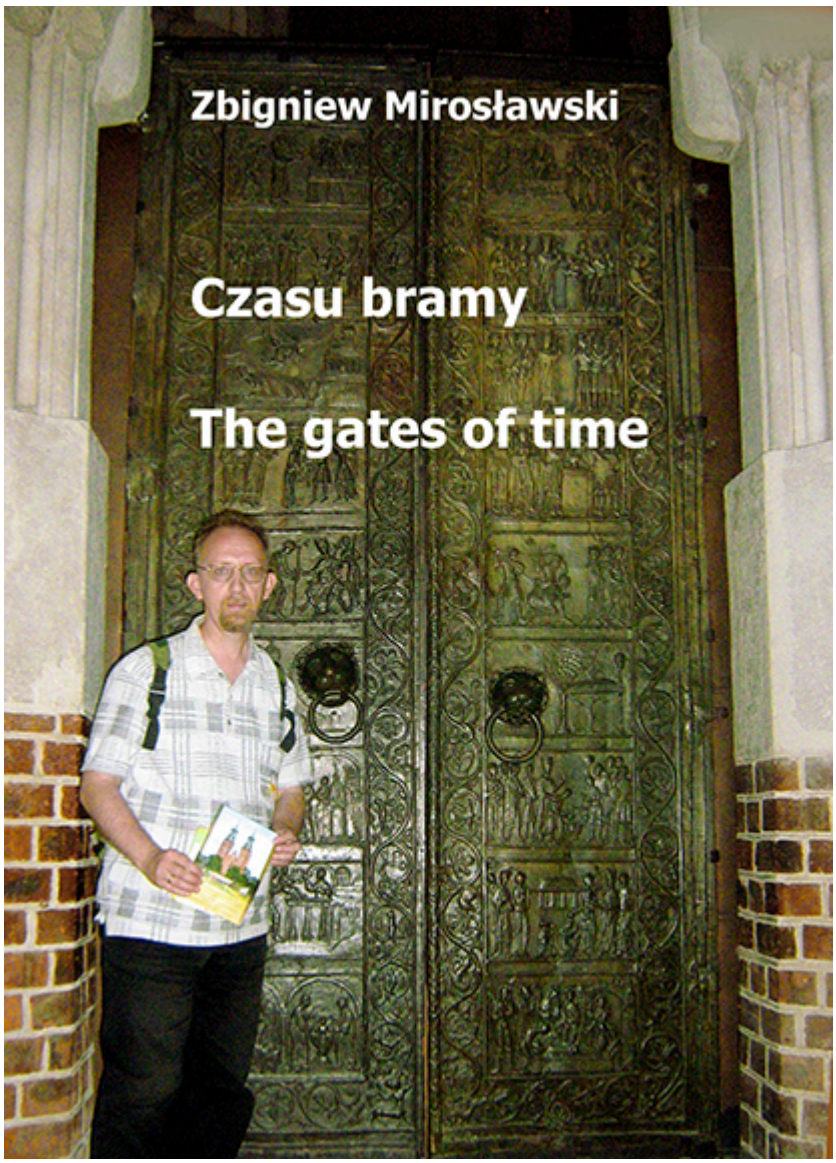
rzadko spotykana w warszawskich salonach.



„Czasu bramy”

Poetycki traktat Zbigniewa Mirosławskiego o trwaniu, przemijaniu i nieśmiertelności słowa

*



*

Withkacy Zaborniak

Z twórczością Zbigniewa Mirosławskiego obcuję od wielu lat. Posiadam kilka jego tomików i z każdym kolejnym sięgnięciem do tych kart czuję się zaproszony nie tylko do świata poety, ale także do świata bardziej uważnego istnienia. Gdy zapoznałem się ze zbiorem, towarzyszył mi pewien rodzaj wewnętrznego drżenia — czy zdołam sprostać głębi, skupieniu i duchowej ciszy, którą niesie ta poezja? Lecz to właśnie ona, *ta książka*, otworzyła mnie na coś więcej niż lekturę. Dlatego z dużym szacunkiem, ale i z osobistym zaangażowaniem podjąłem się napisania recenzji.

Zbigniew Mirosławski w tomiku „Czasu bramy" tworzy nie tyle zbiór liryków, co wielowarstwowy traktat egzystencjalny – zapisany nie atramentem, lecz pamięcią, czułością i nieustającym dialogiem z tym, co było, co trwa i co dopiero przyjdzie. To poezja, która otwiera drzwi: do przeszłości i do nieskończoności – w przestrzeni historycznej, duchowej i osobistej.

To, co od razu uderza, to świadomość istnienia jako zadania. Mirosławski nie ucieka w konstrukcję podmiotu lirycznego oderwanego od rzeczywistości – wręcz przeciwnie, ugruntowuje się w konkretnym miejscu i czasie. A jednak jego głos wybrzmiewa jakby z innej epoki – zanurzony w refleksji, pozbawiony pośpiechu, a jednocześnie przesycony pilnością mówienia o tym, co znika. Autor nie afiszuje się z osobistą

tragedią czy manifestem – raczej wyciąga dłoń w stronę czytelnika, jakby mówił: *zobacz, to wszystko było i wciąż jest*.

Już w pierwszym wierszu, otwierającym zbiór, odnajdujemy jego duchowy portret:

Nasz dom wyrasta szumem traw, jego ściany to fale rozkołysane w nurcie rzeki oszalałej. […] uciekamy pomilczeć w szczere pola.

Nie chodzi tu tylko o opis rzeczywistości – raczej o sposób bycia w świecie, który opiera się na kontemplacji, czułości i przeczuciu obecności „czegoś więcej". Ten wiersz wprowadza podstawowy temat zbioru – dom, jako symbol wspólnoty i metafizyki. Dom to nie ściany, lecz pamięć, relacja i coś, co przetrwa nawet, jeśli zniknie z powierzchni ziemi.

Struktura zbioru „Czasu bramy" układa się jak mapa wspomnień i miejsc świętych: Kraków, Uniwersytet Jagielloński, dom rodzinny, wojskowe wspomnienia, Nowa Huta – wszystko to splecione nie chronologią, lecz wewnętrzną logiką doświadczenia. Wiersze nie są tylko rejestrami przeżyć – są opowieściami z innego wymiaru, w którym czas nie biegnie liniowo. Daty – jak *Maj 1926* czy *13 grudnia 1981* – nie są tu faktami historycznymi, lecz znakami bram, przez które przechodzi pamięć. Tomik ułożony jest jak liturgia wspomnień. Dedykacje, rozmowy z postaciami z przeszłości, listy – wszystko

to buduje spójną narrację duchową.

Nie sposób nie zauważyć, jak ważną rolę w całym tomie odgrywa forma – nie tylko treść, ale i sposób jej podania. Znajdziemy tu zarówno wiersze wolne, jak i klasyczne formy sonetowe. Obecność przekładów sonetów Szekspira, wykonanych przez samego poetę, to wyraz nie tylko kunsztu, ale i głębokiego dialogu z tradycją. Dzięki temu zbiór „Czasu bramy" zyskuje jeszcze jeden wymiar – pomost pomiędzy współczesnością a wiecznością poetyckiej formy.

Ważnym, często niedocenianym aspektem tego tomu jest jego dwujęzyczność. Obecność tłumaczeń na język angielski nie tylko czyni tę poezję dostępną dla szerszego kręgu odbiorców, ale także uwypukla jej uniwersalność. Tłumaczenia, przygotowane z wyczuciem i poszanowaniem oryginału, otwierają „Czasu bramy" na świat – bez utraty wewnętrznego rytmu, bez zdrady ciszy, którą te wersy niosą.

W wierszu „Ja tu gadam z kamieniem każdym" odnajdujemy istotę tej struktury:

kamień wie – przetrwa, ja, nie jestem pewien.

To forma ciągłego pytania o miejsce człowieka w świecie, który przemija. Mirosławski buduje kompozycję opartą na powrotach,

rytmie oddechu i cieniach zdarzeń. Przeszłość nie jest tłem – to żywa tkanka, przez którą przeświturje teraźniejszość i lęk o przyszłość. Tytułowy „czas” to nie tylko kategoria chronologiczna, lecz również pojęcie duchowe – czas duszy, pamięci, odwagi, czas stawania się.

Mirosławski jest malarzem pejzaży duszy i miejsc. Obrazy, którymi się posługuje, nie są oderwane od rzeczywistości – wręcz przeciwnie, wychodzą z codzienności, by dotknąć sacrum. Jego metafory są miękkie, rozłożyste, nie efektowne, ale skutecznie wprowadzające czytelnika w wymiar głębszego widzenia. W tej poezji każdy obraz ma wagę – nie tylko estetyczną, ale i duchową. Obrazy nie są ozdobą, lecz znakiem obecności.

Poezja Mirosławskiego przepełniona jest odniesieniami do malarstwa, które staje się nie tylko inspiracją, lecz formą dialogu. W „Według Goyi” kot, który *ślepia utkwiwszy w gardle, szykuje się do skoku* – jest obrazem niepokoju śnionego w ciemnościach istnienia. W „Malarstwie” poeta przywołuje van Gogha, Chagalla, Wita Stwosza, traktując ich dzieła jak lustra duszy. To sztuka jako forma przetrwania, jako kod pamięci i wyobraźni. Współobecność tych wielkich twórców czyni z tomu duchowy traktat o sztuce jako schronieniu i źródle sensu.

Tematycznie tomik obejmuje spektrum od codziennych rytuałów po narodową traumę. To poezja konkretu i uniwersalności –

przemijanie, utrata, miłość, historia, duchowość. Potrafi z aktu zmywania filiżanek uczynić liturgię:

Rząd czystych filiżanek, jakby zęby w uśmiechu ktoś szczerzył… […] Strumień wody i już po kłopotach.

Wątki polityczne, jak w „Maj 1926” czy „Radiowe melodie nocą”, nie są ideologią – są dramatem sumienia. Autor nie moralizuje, ale przypomina, że historia to także biografia porażek i krzywd, które nigdy nie zostały opowiedziane do końca. W jego wersach można odnaleźć gorzką lekcję pamięci zbiorowej i pytanie: co po nas pozostanie? Poezja staje się świadectwem, kroniką ducha, który przetrwał przez prawdę – nawet tę gorzką.

Styl Mirosławskiego cechuje oszczędność, celowość, klarowność. To poezja przejrzysta, nie uproszczona. Jej rytm nie wynika z metrum – wynika z oddechu duszy, z milczenia między wersami, które mówi więcej niż krzyk. W „Rozpoznaniu”:

Nie boję się lustra. Zdecydowałem się być sobą do końca.

To nie tylko deklaracja – to wyznanie. Autor pisze tak, jakby każda linia była ocaleniem prawdy. Ten minimalizm językowy niesie maksymalne emocje – to siła oszczędności, nie ubóstwa. Język staje się tu narzędziem dotyku – do wnętrza świata i wnętrza człowieka.

Duchowość tej poezji nie jest religijna w sensie dogmatycznym. To duchowość obecności, przemiany, śmierci i trwania. Odwołania do Goyi, Szekspira, Rilkego, van Gogha, Sartre'a czy Wita Stwosza nie są tylko cytatami – to duchowi patroni tej książki. W „Sonetach dla Orfeusza" Mirosławski odsłania jedną z najważniejszych bram sensu:

On Nieśmiertelnym posłem, który trzyma szeroko Wrota Śmierci otwarte.

To oczywista aluzja do mitologii greckiej – Orfeusza jako archetypu poety-przewodnika, który zstępuje do Hadesu. Właśnie taką funkcję pełni poeta w tym tomie – przewodnika po śladach istnienia. Starożytność, choć subtelnie obecna, jest fundamentem metaforycznym – szczególnie w sensie myślenia o przejściu, o bramie, o czasie jako zjawisku cyklicznym. Słowo, które przenika wiersze, ma moc mityczną – rodzi, zachowuje i przekracza śmierć.

Warto zwrócić uwagę także na obecność wiersza dedykowanego afrykańskim studentom – jako wyraz otwartości poety na inność, dialog i wspólnotę ponad granicami. Mirosławski nie zamyka się w perspektywie narodowej – przeciwnie, jego język obejmuje całość ludzkiego doświadczenia. Sartre, Senghor, Nyerere – to imiona znaczące, budujące most między kontynentami. Poezja ta przypomina, że każdy człowiek, niezależnie od koloru skóry czy

historii, ma prawo do metafizycznego domu i pamięci.

„Czasu bramy” to księga o bramach, przez które wchodzimy i wychodzimy całe życie – do dzieciństwa, do wspomnień, do śmierci, do ciała, do słowa. To poezja bez przesady i bez hałasu, ale przez to silniejsza i bardziej prawdziwa. Zostaje po niej coś niezwykłego – uczucie, że ktoś w nas powiedział coś, co sami czuliśmy, lecz nie umieliśmy nazwać: *Bo im ku tobie miłość zatrzymuje drogę. Moje myśli bezgłośne, ale niekłamane.*

Zbigniew Mirosławski jawi się w tej książce jako świadek – nie historii faktów, lecz historii duszy. W jego wersach odbija się echo tego, co minione i tego, co może nadejść. Jego poezja nie podnosi głosu, ale trwa – jak światło latarni na wzburzonym morzu, jak modlitwa zapisana w pamięci kamieni.

„Czasu bramy” to tomik głęboki, mądry, uduchowiony, zasługujący na wielokrotną lekturę. To dzieło, które nie tylko warto przeczytać – warto je mieć obok siebie, jak kamień milczenia, który mówi więcej niż krzyk.

Wydanie drugie, Tarnów, Beldruk 2023 r.

© *Withkacy Zaborniak 2025*

Marta Czok. „In Memoriam”.

Henryka Milczanowska (*Kurator wystawy*)



Wystawa „Marta Czok. In Memoriam”, Galeria Hugonówka w Konstancinie Jeziornie, 2024 r.

*

Mam nadzieję, że będę rzecznikiem tych, którzy myślą jak ja, ale nie mają czasu ani okazji, by zabrać głos. Choćby tylko na

*płótnie. **

Marta Czok

W lutym 2025 roku odeszła Marta Czok, wybitna artystka emigracyjna, której sztuka – pełna ironii, empatii i ostrości widzenia – dotykała najważniejszych pytań współczesności. Związana była z Wielką Brytanią i Włochami, z urodzenia Polka, z tożsamości – Europejka. W Polsce po raz pierwszy dzieła tej uznanej na świecie malarki zobaczyliśmy w 2017 roku w Warszawie, w galerii Włoskiego Instytutu Kultury, dzięki rozpoczętej wówczas stałej współpracy artystki z Fundacją (dla) Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989. W okresie 7 lat przygotowano 6 wystaw w muzeach i galeriach na terenie kraju, w tym największe w Muzeum Karykatury w Warszawie, Lublinie, Łodzi, a także w ostatnim czasie w Konstancinie Jeziornie i we Wrocławiu. Aktualna wystawa „Marta Czok. In Memoriam” we Włoskim Instytucie Kultury w Krakowie jest ważnym momentem podsumowującym jej twórcze działania, włącznie z prezentacją ostatnich obrazów z 2024 roku utrwalających głęboki humanizm tematów, połączonych z bezkompromisową satyrą ich treści.



Marta Czok, wystawa „In Memoriam”



Marta Czok, wystawa „In Memoriam”

*

Marta Czok urodziła się w 1947 roku w Bejrucie w rodzinie polskich uchodźców wojennych. Jej rodzice – Jadwiga i Józef – przeszli szlak II Korpusu Polskiego. Po wojnie, jak wielu polskich żołnierzy i cywilów, wybrali życie na emigracji, w Anglii. Dzieciństwo Marty upłynęło więc na emigracyjnej tułaczce – z Libanu, przez Włochy do Wielkiej Brytanii. Choć Polska była dla

niej krajem niepoznanym, to **język, literatura i ojczysta historia przekazywana przez rodziców,** kształtowały jej tożsamość. Wychowywała się w polskim środowisku emigracyjnym, a z biegiem lat Polska – jako mit, wspomnienie i zobowiązanie – stawała się ważnym punktem odniesienia w jej twórczości. Studiowała w renomowanej Saint Martin's School of Art w Londynie, gdzie ukończyła kierunek tekstyliów i projektowania. W latach 70. osiadła wraz z mężem we Włoszech, poświęcając się malarstwu. Od tego czasu tworzyła dzieła, które – jak sama mówiła – są „malarską próbą powiedzenia światu, co naprawdę o nim myślę".

Artystka często inspirowała się średniowieczną ikonografią, barokiem i karykaturą prasową – w szczególności rysunkami brytyjskiego satyryka Gilesa. Sięgała też do motywów religijnych- co ważne, przekształcając je w krytyczne alegorie społeczne. Jednym z najważniejszych motywów w jej twórczości są dzieci – samotne, porzucone, uciekające. Cykl „Children in War" powstał z osobistej potrzeby artystki do zmierzenia się z własnym dzieciństwem i wojenną traumą, która – choć pośrednia – głęboko naznaczyła jej los.

*Dzieci są u mnie nie tylko postaciami symbolicznymi. One patrzą, osądzają, mówią w moim imieniu. Dziecko w moim malarstwie ma ważne miejsce. To ono najczęściej mówi prawdę. I trzeba pamiętać, że wszystkie dzieci płaczą tak samo.**



Marta Czok, wystawa „In Memoriam”

Marta Czok wypracowała charakterystyczny styl malarski, który trudno pomylić z jakimkolwiek innym. Na pierwszy rzut oka jej obrazy mogą wydawać się bajkowe – pełne kolorowych, uproszczonych postaci i scen. Ale to złudzenie. Pod tą pozorną lekkością kryje się głęboka analiza człowieka w społeczeństwie – jednostki uwikłanej w politykę, religię, historię i codzienne absurdy życia. Artystka często powtarzała, że najważniejsza dla niej była obserwacja. Miała talent do uchwycenia istoty sytuacji społecznych – zarówno tych współczesnych, jak i historycznych.

W jej pracach pojawiają się odniesienia do Holokaustu, II wojny światowej, przesiedleń, ale też do dzisiejszych form zniewolenia: konsumpcjonizmu, manipulacji medialnej, bezrefleksyjnego powielania idei.



Marta Czok, wystawa „In Memoriam”

Dwa pojęcia, które najlepiej definiują twórczość Czok, to pamięć i ironia. Pamięć – jako świadectwo historii, również tej niewygodnej. Ironia – jako narzędzie demaskowania złudzeń.

A jednak Czok nie była pesymistką. Jej ironia nie była cyniczna – raczej miała na celu obudzenie świadomości. Miała nadzieję, że poprzez obraz uda się dotrzeć głębiej niż przez słowo – do intuicji, do emocji, do sumienia.

Krakowska wystawa „In Memoriam” ** ma wymiar szczególny. Jest pierwszą prezentacją jej prac w Polsce po śmierci i zarazem rodzajem artystycznego pożegnania. Pokazuje nie tylko najważniejsze tematy, które towarzyszyły jej przez lata, ale też ich ewolucję – od krytyki społecznej, przez refleksję nad wiarą, aż po niemal mistyczną symbolikę w późniejszych dziełach. Współczesny kontekst czyni twórczość Czok aktualną niemal pedagogicznie. Zwraca uwagę na potrzebę pamiętania, dystansu, empatii i odwagi do zadawania trudnych pytań. Wystawa „In Memoriam” to zbiorowe przypomnienie – że sztuka może być lustrem, satyrą i pomnikiem jednocześnie.



Marta Czok z Ambasadorem Włoch (z lewej) oraz z dyrektorem Włoskiego Instytutu Kultury w Warszawie, podczas pierwszej wystawy malarki w Polsce w 2017 roku

* Cytaty pochodzą z wywiadu z artystką, przygotowanego do wystawy w Muzeum Karykatury w Warszawie w 2020 roku.

** Wystawa „In Memoriam”
Włoski Instytut Kultury w Krakowie, ul. Grodzka 49
Czynna do: [31 sierpnia 2025]
Organizatorzy: Istituto Italiano di Cultura, Fundacja dla Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989,
Fondazione Marta Czok.

Kuratorzy: Henryka Milczanowska, Jacek Ludwik Scarso.

Pamięć przedmiotów

Z Barbarą Gruszką-Zych i Grzegorzem Lityńskim, autorami niezwykłej biografii Krzysztofa Zanussiego – rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.



Od lewej: Barbara Gruszka-Zych, Elżbieta Zanussi, Grzegorz Lityński, Krzysztof Zanussi w domu Państwa Zanussich w Laskach pod Warszawą, fot. z książki „Zanussi. Przez przedmioty”, autor Grzegorz Lityński

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Przygotowaliście wspólnie album, budzący emocje – *Zanussi przez przedmioty*. To fenomenalna biografia opowiedziana poprzez fotografie i teksty. Dla mnie było odkryciem, że tak może wyglądać opowieść o człowieku. Wchodząc do domu reżysera, poznając domowników, panującą tam atmosferę i przedmioty z duszą, widzimy więcej. Jak zrodził się pomysł na powstanie tej nieoczywistej biografii?

Barbara Gruszka-Zych:
Poznałam Krzysztofa i Elżbietę Zanussich, a także, nieżyjącą już mamę reżysera panią Wandę, przed 35 laty. Z czasem ta znajomość, początkowo wyłącznie dziennikarska, przerodziła się w przyjaźń. Kiedy zbliżały się 85. urodziny pana Krzysztofa przypomniałam sobie, że jego wypowiedzianym kiedyś głośno marzeniem było stworzenie albumu rejestrującego otaczające go przedmioty, znajdujące się w jego domu w Laskach i mieszkaniach przy ul. Kaniowskiej w Warszawie, a także w Paryżu. Przyznał, że chciałby utrwalić swoje otoczenie, kiedy pracowaliśmy nad książką *Życie rodzinne Zanussich*. Do współpracy przy powstaniu książki – albumu, który stał się prezentem urodzinowym dla pana Krzysztofa, zaprosiłam Grzegorza Lityńskiego – doświadczonego, wrażliwego fotografa, który na swoich zdjęciach pokazuje duchowy wymiar portretowanych ludzi i rzeczy. Bo ten album nie stanowi jedynie realnego inwentarza stanu posiadania naszego bohatera. Przede wszystkim staraliśmy się w nim pokazać duchowy wymiar Jego egzystencji, zawsze obecną miłoszowską „drugą przestrzeń".

Joanna:
W waszej książce widać nie tylko przedmioty, ale też emocje, wspomnienia, przemijanie… Jak to możliwe, by poprzez fotografię oddać coś tak ulotnego?

Grzegorz Lityński:

To kwestia kilku warstw: kompozycji, światła, detalu. Ale też rytmu, układu zdjęć, które współgrają z tekstem Barbary. Każdy rozdział to osobna narracja – ma swoje zdjęcia otwierające i zamykające, czyli te najważniejsze. Istotne są też niedopowiedzenia. Gdy mówimy o przemijaniu, nie można pokazywać tego dosłownie – bo wtedy zabija się poezję.

Joanna:
W książce widać powracające motywy: schody, poręcze, kotara, stół…

Grzegorz:
To nasze „leitmotivy”. Wprowadzają rytm i głębię. Nawet kolor ma znaczenie – np. rozdział o przemijaniu nie jest czarno-biały, jak można by się spodziewać, tylko pełen kolorów. Wprowadzam czerń i biel, by uspokoić wizualnie narrację, a nie żeby podkreślać smutek.



Elżbieta Zanussi i Barbara Gruszka Zych podczas przygotowywania albumu, fot. z książki „Zanussi. Przez przedmioty”, autor Grzegorz Lityński

Joanna:

Czy teksty i zdjęcia powstawały równolegle?

Grzegorz:

Niestety nie mieliśmy luksusu pracy etapowej – teksty powstawały na bieżąco, dosłownie codziennie przychodziły nowe fragmenty, które wymuszały zmiany w kompozycji zdjęć. To było duże wyzwanie.

Barbara:

Ta dynamiczna praca miała też dobre strony – wzajemnie się inspirowaliśmy. Czasem mówiłam Grzegorzowi: „To zdjęcie musi zostać!”. Tak było w przypadku fotografii, leżącego do góry brzuchem labladora państwa Zanussich, rozpoczynającej rozdział „Koń wierzgający nogami na ścianie”. Nieoczywiste odniesienie do jego tytułu sprawia, że zdjęcie nabiera charakteru humorystycznego. Grzegorz mnie posłuchał, ja się ucieszyłam, wiedząc, że potrzebował tylko potwierdzenia. Bo wiadomo – jak mi powiedział kiedyś Czesław Miłosz – autor powinien słuchać sugestii innych, ale ostatecznie musi pozostać wierny swojej wizji.

Joanna:
Wchodząc do świata wykreowanego w albumie, widzę dom Państwa Zanussich jako dom z duszą, pełen wspomnień i rodzinnej przeszłości. Jakie jest podejście bohaterów albumu do burzliwej historii, która nie zawsze pozwalała na zachowanie rodzinnych pamiątek?

Barbara:
Elżbieta Grocholska-Zanussi – z pochodzenia arystokratka – powiedziała mi kiedyś, co przywołuję w naszej książce, że nauczyła się bez żalu tracić przedmioty, bo jej przodkowie zostali zdeklasowani i pozbawieni majątku. Mając w genach taką życiową naukę starała się nie przywiązywać do rzeczy. Podzieliła się ze mną też tym co zaobserwowała, że jej mężowi

Krzysztofowi – wywodzącemu się z mieszczaństwa, wypracowującego w ciężkim trudzie swój dorobek – trudniej jest godzić się z ich utratą. Istotne, że nasi bohaterowie, bo Elżbieta, jako nieodłączna towarzyszka pana Krzysztofa, stale występuje obok niego nie tylko na kartach tego albumu – dzielą się z innymi posiadanymi dobrami – prowadzą dom otwarty, zapraszają gości, pomagają każdemu, kto tego potrzebuje.

Grzegorz:
Ten dom jest przemyślany w każdym szczególe – przepiękna oranżeria, otwierająca przestrzeń, różne detale, takie jak np. sufit w sypialni z jaskółkami. Pan Krzysztof Zanussi, który wiele podróżuje, żartuje, że jak rano się budzi i widzi nad sobą jaskółki, to znaczy, że jest w domu. W każdym razie dom Państwa Zanussich, to nie tylko estetyka, ale i opowieść o wspólnym życiu. I widać, że został urządzony przez kogoś bardzo wrażliwego – panią Elżbietę, która z zawodu jest artystką.



Fot. z książki „Zanussi. Przez przedmioty” autorstwa Grzegorza Lityńskiego



Fot. z książki „Zanussi. Przez przedmioty”
autortswa Grzegorza Lityńskiego

*

Joanna:
Jak wyglądała współpraca z państwem Elżbietą i Krzysztofem Zanussimi przy opracowywaniu albumu?

Grzegorz:

Niesamowicie swobodnie. Miałem dostęp do każdego zakątka domu. Nie było żadnych ograniczeń. Pan Krzysztof zdziwił się tylko raz, gdy pokazałem mu zdjęcie domu z drona – powiedział: „to nie mój dom!”. Okazało się, że nigdy nie widział swojego domu z tej perspektywy.

Barbara:
To rzadkość, że opisywani i portretowani przez nas nie mieli żadnych zastrzeżeń do naszej pracy. Nie pozowali, nie kreowali na siłę rzeczywistości upiększając ją. Już wcześniej ze zrozumieniem, a może lepiej – pokorą przyjęli fragment mojej książki *Życie rodzinne Zanussich*, pokazujący ich małżeńskie spory. Niczego nie chcieli usuwać, by pokazać jak jest naprawdę. Elżbieta po lekturze naszego albumu zadzwoniła do mnie i powiedziała: „Świetnie to zrobiliście”. To było największe docenienie, bo wiem jaka na co dzień jest krytyczna. Kiedy zwierzyłam się jej mężowi, jak mnie ucieszyły jej słowa, usłyszałam: „Mnie też, bo sam się bałem opinii Elżbiety”.

Joanna:
Czy w filmach Krzysztofa Zanussiego przedmioty też grają ważną rolę, jako nośnik pamięci?

Barbara:
One grają niczym bohaterowie. Np. w filmie *Persona non grata,* wiszące w szafie sukienki po zmarłej żonie – opowiadają o niej

więcej niż słowa. Zresztą film zaczyna się od oglądania rozerwanej na pół fotografii – szczegółu, który napędza fabułę.

Joanna:
Podróżujecie teraz z książką po Stanach Zjednoczonych, spotkaliście się z czytelnikami w Austin, Waszyngtonie, Nowym Jorku. Jak wasza książka została przyjęta podczas spotkań w Ameryce?

Barbara:
Przeżyliśmy niezwykłe doświadczenie bardzo intensywnego kontaktu z uczestnikami spotkań. Zarówno w Austin, jak i w Waszyngtonie czy w Nowym Jorku – nasi czytelnicy byli zainteresowani w jakim otoczeniu i jak żyje wybitny reżyser, ale i inni bohaterowie też promowanej książki „Moi ważni. Portrety prywatne". Opowiadali nam też swoje osobiste historie, jakby pragnąc, by przetrwały w naszej pamięci, a może zostały przez nas spisane. Ktoś powiedział, że Zanussi dzięki naszej książce dla niego „zmartwychwstał", bo zapomniał o jego filmach, a teraz ma ochotę do nich wrócić. Wielokrotnie słyszeliśmy prośbę: „Polećcie mi jaki film Zanussiego mam obejrzeć". Staraliśmy się doradzać, sami mając problem z wybraniem kilku najważniejszych tytułów, bo każdy z obrazów twórcy „Iluminacji" zasługuje na uwagę.

Grzegorz:

W Waszyngtonie spotkanie odbyło się po angielsku. Czytano wiersze Barbary, był też pokazany film. To spotkanie miało bardziej poetycki wymiar. W Austin publiczność była zróżnicowana, ale ogromnie zainteresowana. Wspaniale jest widzieć emocje na twarzach i żywiołową reakcję. W każdym razie wszędzie czuliśmy autentyczną więź z ludźmi, a to jest bardzo cenne.

Barbara:
Uczestnicy naszych wieczorów autorskich porównywali swoje historie, do losów bohaterów, o których opowiadaliśmy. Widzieli, że ich z uwagą słuchamy. Nie można zapominać, że każde spotkanie opiera się nie tylko na opowieści, ale uważnym słuchaniu właśnie, a na styku tych dwóch aktywności tworzy się to, co nieuchwytne, ale najważniejsze – ludzkie więzi.



Grzegorz Lityński, Barbara Gruszka-Zych i Joanna Sokołowska-Gwizdka podczas spotkania autorskiego w Austin, w Teksasie, marzec 2025, fot. Jacek Gwizdka

Joanna:

Gdy uda się stworzyć taką atmosferę spotkania, że publiczność czuje się swobodnie i widać, że poruszyło się głębokie struny, to chyba największa nagroda za pracę nad publikacją. W Austin jeszcze długo po Waszej wizycie słyszałam komentarze, jak bardzo wartościowe są takie opowieści, jak dają do myślenia, jak porządkują to, co jest w nas. Dziękuję Wam bardzo za rozmowę i za to, że szczodrze dzielicie się poezją i wartościami tak ważnymi w naszym życiu.

Przegrani zwycięzcy

Krzysztof Kasprzyk *(Kanada)*

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba

Podnoszą z ziemi przez uszanowanie

Dla darów Nieba….

Tęskno mi, Panie…

C.K. Norwid „Moja piosnka”



Od momentu wyjazdu z Polski, co pewien czas zastanawiałem się nad znaczeniem tych słów. Dla mnie, dla moich rodziców, dla dziadków, którzy żyli jeszcze pod zaborami. I dla Norwida, dla tamtego pokolenia pierwszej Wielkiej Emigracji.

Zastanawiałem się także nad zabiegiem naginania i dostosowywania takich słów do określonego, historycznego

kontekstu. Przede wszystkim za niosącymi się w nich emocjami, myślami, tęsknotami. Rozważaniami o patriotyzmie, obowiązku, powinności. Wiem dziś z całym przekonaniem, że w stosunku do moich rodziców czy dziadków, wiele tych emocji dla mnie wyblakło, zmieniło sens i znaczenie.

Po roku 1981 byłem emigrantem. Po roku 1989 mam wewnętrzny sprzeciw wobec tego określenia. Wolę osiedleniec – osiedliłem się w Kanadzie, gdzie żyję już dłużej niż w Polsce. Nigdy nie byłem rozdarty pomiędzy Polską a Kanadą, a od kiedy zacząłem siedem lat temu przemieszkiwać w argentyńskiej Patagonii, poczułem się obywatelem świata. Osadzonym w polskim języku, polskiej kulturze, tradycji i rodzinnych więzach. W zasadzie nie opuściłem Polski ani jednego dnia, co jeszcze wzmocnione jest mymi corocznymi przyjazdami od 25 lat i pisaniem w polskim języku.

Poczułem, iż mój zasób wolności się powiększył, owo nieskrępowane bycie w tym świecie. Nie tylko Polska stała się otwarta. Także Europa i świat. Mimo wszelakich konfliktów i łajdactw, wojen i innych zbrodni. Wiem, że nie jestem bezmyślnym patriotą, pławiącym się w tak ulubionej przez wielu Polaków obrzędowości i działaniach na pokaz. Tutaj można by powrócić do wiersza Norwida i zacytować jeszcze jedną zwrotkę:

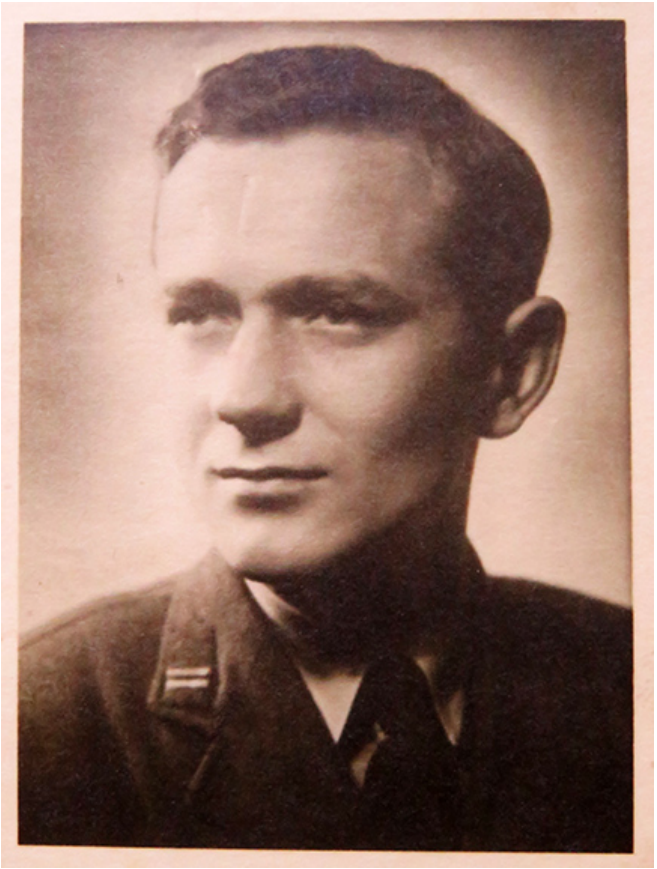
Do bez-tęsknoty i do bez-myślenia,

*Do tych, co mają **tak** za **tak – nie** za **nie**,*

Bez światło-cienia…

Tęskno mi, Panie…

Szkoda, że nie mogę o tym porozmawiać z moimi rodzicami, szczególnie z ojcem, w kolejną rocznicę D-Day, w którym brał udział. Ląduje w Normandii 17 lipca 1944 roku, jako dowódca inwazyjnej jednostki przydzielonej do angielskiej armii – 411 R&SU (*Repair and Salvage Unit* – Jednostka Naprawy i Ratownictwa).



Franciszek Kasprzyk, lotnictwo w Anglii, 1941 r., fot. arch.

autora
Kiedy pasjonowałem się rzeźbieniem pomnika Nieujarzmionego Konia (*Crazy Horse,* a powinno być *Untamed Horse*) w Południowej Dakocie, przez rodzinę Korczaka Ziółkowskiego, odkryłem, że Korczak brał udział w inwazji, jako ochotnik, na plaży Omaha. Mój ojciec obok, na brytyjskiej plaży Gold. Następny, sąsiedzki odcinek to byli Kanadyjczycy na Juno. I jak tu nie wierzyć w przypadki i szczególne znaki (zbieg okoliczności), które tak często przewijają się w moim życiu.

W 1973 roku w Londynie, w przejmująco pustym klubie Polskiego Lotnika, spotkałem jakiegoś starszego pana, który okazał się uczestnikiem II wojny i oficerem łącznikowym przy polskich dywizjonach. Po krótkiej rozmowie i poinformowaniu go, że mój ojciec był w 308 dywizjonie, ów pan zaprosił mnie na drinka i kontynuowaliśmy niemal godzinną pogawędkę po polsku. Okazał się Kanadyjczykiem. W pewnej chwili nagle powiedział: „Niech pan jedzie ze mną do Montrealu. Wszystko panu załatwię bez żadnych problemów". Propozycja kompletnie zbiła mnie z tropu, tym bardziej, że wtedy grzęzłem w skomplikowanej sprawie osobistej i koniecznie chciałem do Polski powrócić. Podziękowałem i odmówiłem. Ten pan okazał się słynnym Elginem Scott'em [**https://www.polishairforce.pl/scott.html**].



Pamiątkowe zdjęcie polskiej jednostki RSU. Ojciec na środku, czwarty od lewej, w pierwszym rzędzie, fot. arch. rodzinne

Niespodziewanie powrócił do mnie, gdy w roku 1979 pracowałem w piśmie „Technika i Gospodarka Morska”. Redakcja mieściła się w nieistniejącym obecnie Wydawnictwie Morskim w Gdańsku. Któregoś dnia, na dnie szuflady mego biurka sekretarza redakcji, znalazłem w maszynopisie, odrzucone przez cenzurę i niewydane, pamiętniki byłego ministra żeglugi i gospodarki wodnej (w latach 1957- 1964), Stanisława Darskiego. Tam opisał historię rodziny Scott’ów, których przodek osiadł w Polsce, w końcu wieku XIX. [**https://pl.wikipedia.org/wiki/Elgin_Scott**] Do dziś żałuje, że tego pamiętnika stamtąd nie zabrałem.

Mimo tego, że od 1984 mieszkałem w Kanadzie i trzykrotnie przejechałem przez Montreal, zapomniałem o istnieniu Scott’a. Ujrzałem go przypadkowo w kanadyjskiej telewizji CBC, gdy z

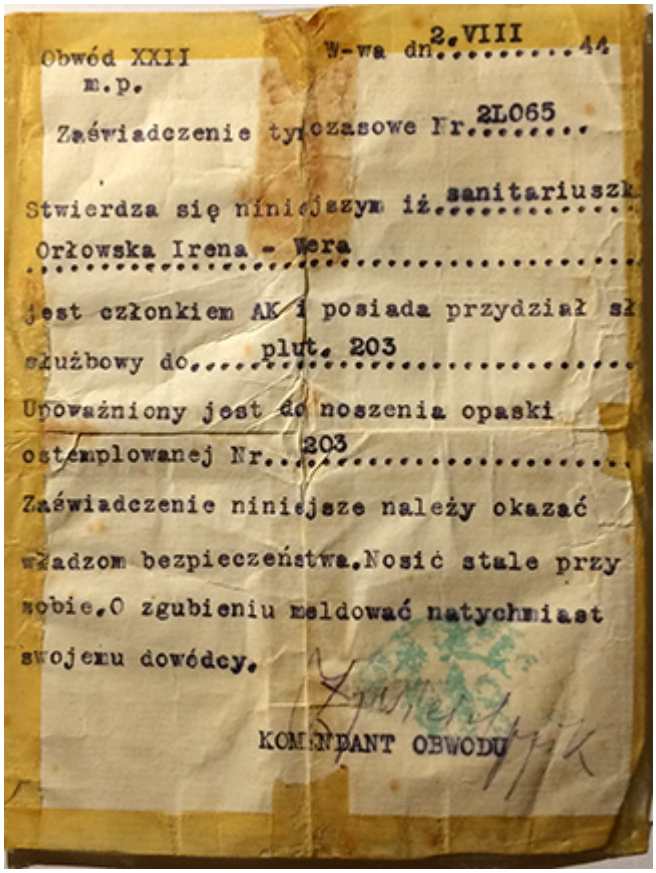
okazji 50 rocznicy zakończenia II wojny, udzielał wywiadu. Opowiadał o polskich pilotach, o ich odwadze i fantazji. Zmarł w roku 2011 w miasteczku Rowdon koło Montrealu.

*

W zeszłym roku, drugi raz w życiu, porządkowałem rzeczy po śmierci bliskiej osoby z rodziny. Pierwszą, wiele lat temu, była babcia, matka mojej mamy. Ocaliła i przechowała niezwykłe dokumenty, m.in. drukowany na maszynie rozkaz dla mamy, jako sanitariuszki Powstania, z 2 sierpnia 1944, podpisany przez płk. Żywiciela (Mieczysława Niedzielskiego) oraz jej listy z obozu Oberlangen.



Mama (Irena Orłowska) na tarasie przy ul. Krasińskiego w Warszawie z Bobikiem, 1938 lub 1939 r,



Obwód XXII W-wa dn. 2.VIII 44
m.p.

Zaświadczenie tymczasowe Nr. 2L065

Stwierdza się niniejszym iż sanitariuszka
Orłowska Irena - Wera
jest członkiem AK i posiada przydział sł
służbowy do plut. 203
Upoważniony jest do noszenia opaski
ostemplowanej Nr. 203
Zaświadczenie niniejsze należy okazać
władzom bezpieczeństwa. Nosić stale przy
sobie. O zgubieniu meldować natychmiast
swojemu dowódcy.

KOMENDANT OBWODU

Dokument powstańczy mojej mamy

*

Teraz porządkowanie rzeczy po macosze, przebiegało spokojniej. Z mniejszym stresem, a nawet z pewną ekscytacją, bowiem ona starannie przechowała rodzinne pamiątki. Znalazłem tyle dokumentów i zdjęć po mamie i ojcu, że poczułem, iż wreszcie mogę dopełnić ich życie i ocalić przed zapomnieniem. Odkryłem cały szlak bojowy ojca – od opuszczenia Polski w 1939 roku do powrotu w maju 1947 – uzupełniony licznymi szczegółami, odnalezionymi po wielu godzinach buszowania na Internecie.

Trzy lata temu, zająłem się gromadzeniem pamiątek po mamie i

przekazałem je do Muzeum Powstania Warszawskiego. W trakcie żmudnych poszukiwań, odnalazłem dokładną datę i przebieg wyzwolenia jej obozu Oberlangen, gdzie zaczyna się historia rodziców i… moja.



10 październik, 1945 (w rok później będę już na świecie). Na rewersie ozdobna dedykacja – „Swojej małpce Piesek”. Hmmm.. małpka małą literą, a piesek z dużej. Ach, ta jego niezgrabność i szorstkość, z którą potem mogłem często się stykać. Z całych sił bronił się przed wzruszeniami, które poczytywał za słabość. Ja

jestem z tych nieprzytulonych przez ojca, lecz za to umiarkowanie i rozsądnie przez matkę, fot. arch. rodzinne
Usiłuję wyobrazić sobie ten moment, gdy po raz pierwszy skrzyżowały się ich spojrzenia. Jest rok 1945, 13 kwietnia, dzień po wyzwoleniu obozu. Mama, Irena, akurat wyszła z lazaretu obozowego, zgaszona i nieco wynędzniała po traumatycznych przeżyciach w Powstaniu i na skutek warunków w stalagu. Ma 22 lata. Ojciec, Franciszek, sierżant z 308 dywizjonu Krakowskiego. W kwietniu 1945 przekracza granicę Niderlandii i Niemiec natykając się na żołnierzy z dywizji gen. Maczka. Ktoś informuje go, że wczoraj wyzwolili obóz polskich kobiet z Powstania Warszawskiego.

Wskakuje do jeepa i jedzie do obozu. Przystojny chłopak w wojskowym mundurze. Zdziwiłem się i zarazem roześmiałem, gdy znalazłem sporo zdjęć dziewczyn, angielskich i innych, z dedykacjami dla niego. Miał powodzenie. Na wojnie znalazł się w wieku 18 lat. Paradoksalnie, w tak młodym wieku, świat nie tylko całkowicie stanął na głowie, ale się przed nim otworzył. Jest po równie traumatycznych przeżyciach – od początku wojny żadnych wieści o rodzinie, utrata bardzo wielu kolegów i przyjaciół z lotnictwa. Ma 24 lata.



Zgodnie z prawami młodości ojciec także „wojował” na randkach z Angielkami (tzw. Wafkami ; WAAF – The Women’s Auxiliary Air Force – Żeńska Służba Pomocnicza przy RAF). Piknik w roku 1942. Jedna panna spoczywa mu malowniczo na podołku, a inna z wyraźną troską go obejmuje. A on ma minę, tak dobrze znaną mamie i mnie, nieco nachmurzoną, pod tytułem ”no dobra, może być…”, fot. arch. rodzinne

Ten moment… Gdzie się na siebie natknęli? Na obozowym placu czy przed barakiem? Czy ojciec akurat wysiadał z jeepa, czy też już zmierzał na piechotę? Kiedyś ojciec wspomniał, że było późne popołudnie. Lecz dokładnie kiedy i jak wpadli sobie w oko? O czym rozmawiali? Co w sobie wzajemnie zobaczyli? Musiał to być niezły błysk, skoro w trzy dni później, ojciec zabiera mamę z obozu załatwiając jej przydział do swojej jednostki, włącznie z umundurowaniem. W październiku biorą ślub w wojskowej

kaplicy, w niemieckim miasteczku Quakenbrück i tam zmieszkują. Ojciec był vice komendantem miasteczka z ramienia brytyjskiej armii okupacyjnej. I tam się urodziłem, we wrześniu 1946 roku.



Ślub rodziców, Quackenbrück, 27 października 1946 r. W rodzinnych dokumentach znalazłem pozwolenie na ślub od dowódcy ojca (sic!), laurkę dla młodej pary od 411 RSU, nazwisko wojskowego kapelana ks. Kończewskiego, który udzielał ślubu. Kiedyś ojciec aż podskoczył, bo w czasie wyławiania w latach 60., spomiędzy szumów i buczenia, słów z Radia Wolnej Europy, nagle odezwał się stamtąd ów kapelan, fot.

arch rodzinne.
*

Lecz o tym dowiedziałem się w roku 1997, w Toronto, gdy ojciec już nie żył. Nie był skory do zwierzeń. Pamiętam go z okresu lat 50. i 60., raczej ponurego, zamkniętego w sobie pracoholika i człowieka nadużywającego alkoholu. Kiedy coś mi nagle oznajmiał, było to z reguły spóźnione o lat parędziesiąt – adres mojej matki chrzestnej mieszkającej w USA lub kilkanaście – dokument brytyjski, który mnie upoważniał do otrzymania obywatelstwa Wlk. Brytanii, do szesnastego roku życia. Wręczył mi go, niemal uroczyście, gdy miałem lat 19. Marzyłem o wyrwaniu się z komuny. Coś się zamknęło, nim zdołało się otworzyć.

We wspomnianym roku 1997, w dwa lata po śmierci ojca, zabrałem mego małego syna, Lukasa, który dziadka znał tylko ze zdjęć i mych opowieści, na spotkanie polskich lotników w Toronto, żeby chociaż miał jakieś wyobrażenie o postaci dziadka i o tym – jak o nich się mówi – „stalowym pokoleniu”. Kiedy siedzieliśmy z kilkoma byłymi pilotami przy stole, Luka pochylił się ku mnie i zapytał szeptem „Tato, ile oni mają lat?”. Wtedy głośno, wszystkim przy naszym stole, powiedziałem o co mnie zapytał i poprosiłem, aby mu wyznali swój wiek. I się zaczęło… 82, 81, 86, 85, i jeden młodzian – 79.

Podczas spotkania dowiedziałem się od kolegi ojca; natychmiast, gdy się przedstawiłem, rzekł: „Ach syn Franka, dobrze go pamiętam”, o jego okupacyjnym stanowisku. Patrząc na ludzi przy stole, potem nie raz spotykając w Toronto innych polskich pilotów lub członków załóg bombowych, wyraźnie widziałem różnicę w wyglądzie mego ojca a tych ludzi, żyjących od lat w Kanadzie. Wszystko jest wypisane w postawie ciała, w stylu bycia, przede wszystkim w wyrazie twarzy. Tam się odbija spełnienie, poczucie wolności i satysfakcji z życiowych osiągnięć. Świadomość szacunku otoczenia, uznania dla wojennych zasług, W miarę spokojne życie wśród na ogół życzliwych i miłych ludzi. Takich, do których wychodzi się na przeciw bez wahania, z automatycznym kredytem zaufania. Takich, z którymi można się wspólnie bawić, nie rozstając się z okresowym używaniem alkoholu. Lecz wiedząc, że my nim rządzimy, a nie on nami, stając się złudnym lekarstwem „na problemy” i „przeklęte życie”.

Ojciec był na twarzy zniszczony, przedwcześnie postarzały, często zgaszony. I niemal zawsze było w nim jakieś napięcie. Jego brak pierwszy raz odkryłem w szpitalnej kostnicy, w Gdyni, gdy poprosiłem, aby nas zostawiono na chwilę samych. Uderzyło mnie to tym bardziej, że obok leżała kobieta, która miała niesamowity wyraz przerażenia na twarzy. Jakby zaciekle i z rozpaczą broniła się przed odejściem. Twarz ojca była całkowicie pogodna, uszło z niego owo długotrwałe napięcie. Może dlatego nie wstrząsnęło mną aż tak bardzo, kamienne zmrożenie jego

ręki, gdy ją dotknąłem.



Lotnisko Northolt, grudzień 1942. Ojciec czwarty od lewej, fot. arch. rodzinne

Relacje mieliśmy bardzo trudne i trudne. Kiedy po 13 latach mogłem wreszcie przyjechać bez obaw do Polski, spotkałem się z nim po raz pierwszy od 15 lat. Cieniem na naszych stosunkach leżał jego alkoholizm, z którym starannie krył się przed rodziną matki. Zresztą tak samo postępowała ona i ja, bo nam po prostu było wstyd. Czasami zdarzały mu się wpadki, lecz w tym kraju, który jak nie w sporej części pijany, to na rauszu lub na kacu,

powszechną tendencją było skrywanie lub wypieranie problemu. Z kolei na swoją rodzinę znalazł inny sposób – niemal w ogóle się z nią nie kontaktował. Okazją do spotkań były najczęściej pogrzeby jego licznego, starszego rodzeństwa – trzy siostry i trzech braci.

Alkohol zmieniał jego osobowość, pogłębiał pewną słabość charakteru, bo w innych przypadkach potrafił być niesłychanie twardy i stanowczy. Był pracowity, zasadniczy, co przechodziło nie raz w nieznośny pedantyzm. Był skrajnie uczciwy i często bezradny wobec rzeczywistości PRL-u. Mało wiedziałem o jego przeszłości, przede wszystkim przedwojennej i wojennej. Jak pamiętam, bardziej zbierało mu się na zwierzenia po wódce, lecz wtedy często był pełen agresji i pretensji, czasami zarzucając mi „Co ty wiesz o życiu, szczeniaku? Prawie wszyscy moi koledzy zginęli!”.

Jednocześnie, w miarę upływu lat znaczonych nadużywaniem alkoholu, który nie tylko nadszarpywał jego zdrowie, ale pustoszył umysł, w tych pijanych porywach, opowiadał niekiedy o wojennych wyczynach, swoich lub innych osób z naszej rodziny, które potem okazywały się połowicznie prawdziwe lub całkowicie zmyślone. Te korekty dotarły do mnie w ostatnich latach, na rodzinnych spotkaniach, głównie osób z jego rodziny. Jednakże w stosunku do wielu innych dorosłych, których poznałem w czasach licealnych i na studiach, był w swych podpompowanych

opowieściach raczej umiarkowany.

I zapewne to nie tylko polska cecha, tak genialnie uchwycona w piosence Młynarskiego „W Polskę idziemy”, której ojciec oczywiście nie znosił. Bo na przykład w książce Annie Ernaux „Lata” znalazłem taki passus: „W ustach pięćdziesięciolatków i osób starszych wspomnienie wojny sprowadzało się do osobistych anegdot, pełnych czczych przechwałek, które ludziom przed trzydziestką wydawały się ględzeniem”.

Obie rodziny – mamy i ojca – z licznymi dalszymi powiązaniami, miały niezwykłe szczęście w okresie wojny. Poza rodzicami, parenaście innych osób było czynnie zaangażowanych w ruch oporu i działania wojenne. Wszyscy wojnę przeżyli, co było głównym powodem decyzji rodziców o powrocie do Polski. Dopiero, gdy byłem na pierwszym roku studiów, w tajemnicy dowiedziałem się, że zginęła tylko jedna osoba – drugi mąż siostry mego dziadka, dr. Karol Potrzobowski. Ale w jakże tragicznym miejscu. W Katyniu.



Mama w czerwcu 1945, w wymarzonym Paryżu. Po powrocie do Polski świat dla niej, jak i dla ojca, się zamknął, fot. arch. rodzinne

*

Miałbym ochotę napisać teraz obszerny list do ojca. Napisałem przedtem dwa takie listy (reszta to były kartki ze świątecznymi życzeniami, szczególnie po wyjeździe z Polski): pierwszy w czerwcu 1984 roku, w trzy miesiące po przyjeździe do Kanady, kiedy oglądałem w lokalnej telewizji obchody uroczystości 40

rocznicy lądowania w Normandii. Zauważyłem tam polskich kombatantów, w tym z Kanady i nagle poczułem gorycz, może podobną do tej jaką czuł ojciec, stojąc na chodniku w Londynie i z zaciśniętymi szczękami oglądając paradę zwycięstwa, bez udziału polskich żołnierzy.

Kiedy pierwszy raz mi o tym powiedział, smutny i podenerwowany, był rok 1956, gdy rodzice zaczęli w miarę otwarcie opowiadać o wojennych przeżyciach. W miarę, bo czuli, że odwilż jest pozorna, krótkim epizodem tak sterowanym, aby władza się nie wymknęła i została nienaruszona. Już nie mieli złudzeń. Dla mnie opowieść o tym jak nas potraktowali w paradzie zwycięstwa, była pierwszą rysą w mitycznym monolicie Zachodu, oglądanym z daleka, wyławianym spomiędzy zagłuszeń w Radio Londyn i RWE i w podsłuchiwanych rozmowach dorosłych, którzy „tam byli, kiedyś tam pojechali".

W 1984 roku ojciec był jedynym, żyjącym jeszcze uczestnikiem D-Day na Wybrzeżu, i jednym z nielicznych w Polsce. Od dziesięcioleci odmawiał udziału w zniewoleniu Polski, choć jak większość z nas w okresie PRL, wplątany był w różne układy. W jego przypadku, głównie poprzez współbiesiadowanie, obficie podlewane alkoholem w licznych knajpach w Trójmieście z różnymi, aczkolwiek pomniejszymi przedstawicielami władzy. Jednakże dalej wpływowymi. Latem 1968 roku, gdy korespondowałem z przyjaciółką wygnaną do Izraela przez

ludowe państwo i antysemickie drańskwa, ostrzeżono go żeby mnie przekonał do zerwania korespondencji, bo już mi się przyglądają. Kiedy odmówiono mi w 1973 roku paszportu, przez kogoś załatwił, że po miesiącu paszport wydano.

Ale nikt nie zamierzał go zaprosić, tak jak jakichkolwiek przedstawicieli PRL, na obchody do Normandii, bo ledwie rok przedtem odwołano stan wojenny, „Solidarność" była zdelegalizowana, a solidarność ludzka nieustannie erodowana i tłumiona. Rozżalony za niego, z buzującym we mnie uczuciem wściekłości, napisałem ów obszerny list, podkreślając, że przez cały okres, po powrocie do Polski, traktowano go jak zdrajcę, a w najlepszym przypadku jako faceta obciążonego życiową pomyłką, bo znalazł się w czasie wojny na Zachodzie.



Wizyta gen. W. Sikorskiego, 1942 lub 1943 r. Tam było jeszcze jedno zdjęcie, które zobaczyłem w wieku kilkunastu lat. Nie wiem, gdzie owo zdjęcie się zapodziało i nie pamiętam nazwiska dekorowanego bohatera, krzyżem Virtuti Militari, przez gen. Sikorskiego. Ów młody człowiek miał pusty, lewy rękaw przyczepiony do munduru – stracił rękę po powietrznym pojedynku. Największym szokiem dla mnie nie była jego młodość, bo wtedy jeszcze tego nie rozumiałem, ale jego uśmiech – smutno-szczęśliwy i wręcz zawadiacki pod czarnym wąsem. To najbardziej mną wstrząsnęło, że można się uśmiechać z takim

okaleczeniem, fot. arch. rodzinne
Porządkując w zeszłym roku dokumenty po nim, znalazłem dwie legitymacje i medale, którymi wojskowa junta Jaruzelskiego obdarzała wiekowych kombatantów, próbując ich tym sposobem zjednać, co było dla mnie równoznaczne z ochłapem rzuconym po latach. O ironio! w miesiąc po uroczystościach 40-lecia D-Day, dano ojcu „Medal za udział w wojnie obronnej 1939”; potem w kwietniu 1985 „Medal Zwycięstwa i Wolności”, co odczułem jako nieprawdopodobną kpinę z niego. Dopiero, wręczony mu w czerwcu 1990 roku, „Krzyż czynu bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie” uznałem za satysfakcjonujący.

To, że owe „jaruzelskie” odznaczenia przyjął, było dla mnie tak szokujące, jak zdarzenie z roku 1977, gdy przyszedłem do niego po poradę. Zostałem mianowany prezesem Klubu Studentów Wybrzeża „Żak” i po miesiącu młodzi towarzysze zaczęli naciskać na mnie bym wstąpił do PZPR, no bo jakże – na kierowniczym stanowisku i bezpartyjny. Moi współpracownicy uważali, że powinienem zapisać się (dla wielu była spora różnica między wstąpieniem a zapisaniem, zapisanie miało formę łagodniejszą, wręcz usprawiedliwiało). Obawiali się, że mnie wtedy ze stanowiska odsuną i wszystkie nasze ambitne plany, włącznie ze zlikwidowaniem rozległej korupcji w klubie i Zarządzie SZSP, wezmą w łeb. Ostatecznie udałem się po poradę do zasłużonego antykomunisty – mego ojca, tym bardziej, że wspólnie z matką w takim duchu mnie wychowali.

Akurat trafiłem na jego moment nieco zbolały, bo męczył go poranny kac. Pytałem, co mam uczynić i odrzekł „Wiesz, zapisz się, bo nie dasz rady zrobić tego co chcesz. Ja przegrałem życie, a nie chciałbym, abyś ty zmarnował swoje". Byłem w szoku. Wypaliliśmy kolejnego papierosa niemal milcząc. Pożegnałem go i z tymi słowami, dziobiącymi wprost mój mózg „przegrałem swoje życie", wyszedłem z naszego rodzinnego mieszkania. Idąc wzdłuż ściany domu tłukłem się z myślami. Jak to – przegrał i skłania mnie do tego samego? Bo przecież przystąpienie do tych skorumpowanych drani, to sprzeniewierzenie się wszystkim poprzednim latom. Wszystkim odczuciom i pragnieniom. Buntom i anarchicznym odruchom. Zdradą wielu przyjaciół i kolegów. I kiedy doszedłem do ulicy, nagle stanąłem i powiedziałem na cały głos „A taki wał". I zostałem pierwszym, bezpartyjnym prezesem „Żaka" w jego dziejach. Utrącili mnie po dziewięciu miesiącach.

Drugi list był natomiast wypełniony moją opanowaną i zimną złością, na bite dziesięć stron, na których podsumowałem nasze relacje i przede wszystkim co przeszła z nim matka. Powodem był jego krytyczny i krótki list, z racji kolejnego rozpadu mego związku, wraz ze stwierdzeniem, że „w naszej rodzinie nie było i nie ma rozwodów". Zapomniał lub nie chciał pamiętać, że mama podała go do sądu o rozwód. W parę miesiecy po pierwszej rozprawie zachorowała na raka, on wtedy wrócił i się nią opiekował aż do jej śmierci. Ten jego odruch złożył się na moje przebaczenie, lecz po napisaniu „Kochany Tato!", zaraz dodałem,

że go nie lubiłem. Napisałem również, że wiele przez niego wycierpiałem i to mu też przebaczam. I że jak nie było rozwodów w naszej rodzinie, ktoś musi wreszcie zacząć, by nie kontynuować życia w stresującym uwikłaniu i bezmyślnie się poświęcać. Czasem, z zewnątrz można dokonać więcej dobrego, niż tkwiąc w toksycznym związku.



Ojciec w swojej jednostce inwazyjnej w głębi Francji. Stoi u góry, po prawej. Ma na sobie kurtkę *battle dress*, której kolor, strukturę i zapach jeszcze pamiętam. Wisiała w wielkiej, sopockiej szafie latami i po cichu ją oglądałem, a nawet przymierzałem przed lustrem. Była też kamizelka skórzana, bez rękawów, którą piloci zakładali jako ocieplacz pod mundur. Gdy kończyłem pierwsze studia, krawiec dorobił do niej ciemnozielone rękawy i paradowałem cały dumny w tej kurtce,

którą wiele osób podziwiało. *Battle dress* zżarły mole, skórę pożyczyłem kumplowi z Lublina, w 1973 roku, na jego dojazd do domu i więcej jej nie widziałem. Tym bardziej, że Wojtek Ł., w parę miesięcy później, popełnił samobójstwo. Nieszczęśliwa miłość plus alkohol…, fot. arch. rodzinne
*

W parę lat później, gdy się pierwszy raz od lat spotkaliśmy w naszym sopockim mieszkaniu, w ostatnim dniu przed wyjazdem do Warszawy i powrotnym lotem do Toronto, kiedy się pakowałem, nagle rzekł: „Wiesz, w tamtym liście, który napisałeś, nie wszystko było tak jak podałeś". Spojrzałem na niego i łagodnym głosem zapytałem „Tato, czy warto teraz do tego wracać?" I wtedy po raz pierwszy i ostatni w mym życiu, bo w rok później już nie żył, usłyszałem: „Masz rację!".

Rozegrała się wtedy jeszcze jedna, bardzo ważna dla mnie scena. Zapytał „Gdy mieszkałeś w Berlinie, miałeś niemieckich przyjaciół, kolegów?". Na chwilę zaniemówiłem, bo od razu skojarzyłem sobie, że przecież walczył z Niemcami, że zginęło tak wielu jego kolegów i tyle przez wojnę wycierpiał. Dla mnie, człowieka z pokolenia powojennego, w dodatku niemal pacyfisty, o co się także z ojcem przedtem ścierałem, zarzucając mu, że ma nawyki z wojska, Niemiec był po prostu człowiekiem. Tym bardziej, ten z mego pokolenia lub młodszy. Wiedziałem i pamiętałem, lecz czułem, że jest czas budowania pomostów, tym

bardziej, że po wprowadzeniu stanu wojennego, Niemcy tak znacznie Polakom pomagali – w Berlinie i w Polsce. Postanowiłem mu powiedzieć prawdę – „Tak, miałem sporo kolegów i jednego przyjaciela". A on rzekł: „To bardzo dobrze".

*

W bardzo interesującej książce brytyjskich naukowców o płci mózgu, odkryłem, że mam kobiecy mózg i dowiedziałem się, że pokolenia powojenne, z roczników 40-tych, mają w sobie, jakby genetycznie, antywojenne echo po traumatycznych przeżyciach rodziców. Kiedy nadeszła fascynacja muzyką rockową, której ku memu zdziwieniu i radości zarazem, ojciec nie potępiał (tak jak moich długich włosów) i nawet znosił wysłuchiwanie w nocy listy przebojów Radia Luksemburg, te pacyfistyczne nastroje uległy we mnie wzmocnieniu, kumulując się w okresie wojny w Wietnamie. I nieważne teraz, na ile wtedy byłem młody i naiwny, pełen dobrych chęci, zarazem z rodzącym się buntem i wyrywaniem ku konkretnemu działaniu PRZECIW. W każdym przejawie – od prób bycia za wszelką cenę przyzwoitym, poprzez demonstracyjne chodzenie co niedziela do kościoła, do nieśmiałego jeszcze poparcia marca 68, przypadkowego uczestnictwa w grudniu 70 i skumulowanego, otwartego buntu w sierpniu 80, gdy znalazłem się w Stoczni.

Byłem niemal całkowicie przekonany do słów angielskiego

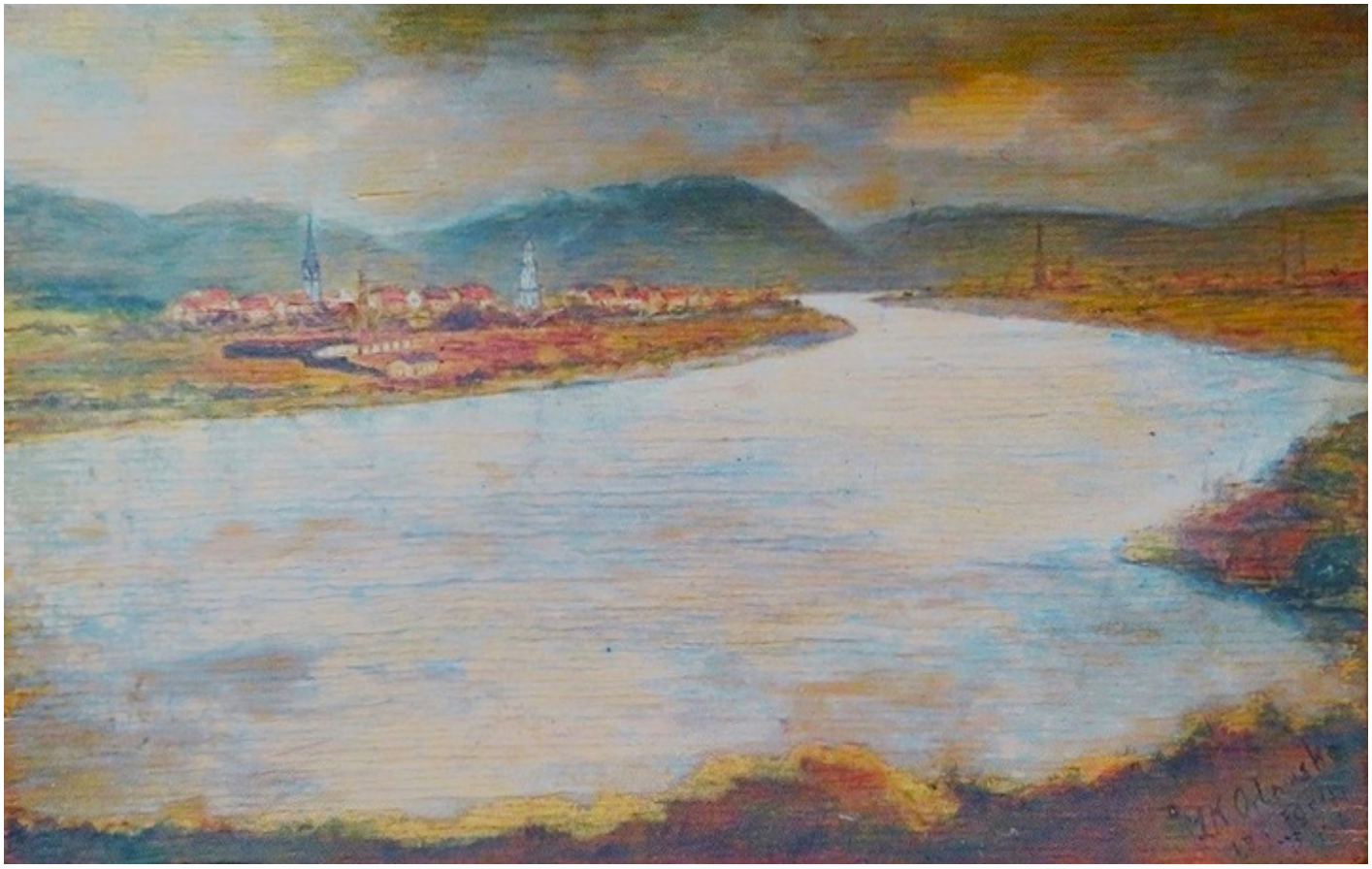
piosenkarza Donovan'a: „Wierzę w to, że jesteśmy pokoleniem błogosławionym". Odczytywałem owe słowa jako sprzeciw wobec wojny i przemocy, włącznie z tym co się działo w PRL-u. Z każdym upływającym rokiem, mieszkając w Polsce, potem w Berlinie Zachodnim i w Kanadzie, dodatkowo przemieszkując w ostatnich latach w Argentynie, tkwiło we mnie do niedawna owo przekonanie o błogosławieństwie pokoleniowym, bo poza wojną na Bałkanach, traktowaną jako epizodyczny wybryk, „nasz świat" wydawał się spokojny i dążący ku porozumieniu.

Pierwsze zachwianie/zwątpienie wprowadził we mnie, w roku 1992, uwielbiany Leonard Cohen, przejmującym, doskonałym albumem „*The Future*". Byłem wstrząśnięty jego wizją, poruszony i wręcz zirytowany, że wokół tak wszystko dobrze się toczy, a tu Leonard śpiewa: „ Zwróć mi Mur Berliński, zwróć Stalina i św. Pawła, widzę, Bracie, że przyszłość jest mordercą". I często powtarzane w refrenie, w sensie wręcz teologicznym, słowo – *repent* („żałuj za grzechy")

W siedem lat później, leningradzki żul, Putin, przechwycił władzę, a trzy lata temu rozpętał krwawą wojnę na Ukrainie, niszcząc moje marzenie, że odejdę z tego świata bez wojny. Że jednak będę tym błogosławionym pokoleniem, optującym za Unią Europejską i światową współpracą. Tymczasem w ostatnim dziesięcioleciu wykwitły całe zastępy przygłupich drani o gangsterskiej mentalności. Zakwitli na zagonach demokracji!

Spragnieni nieograniczonej władzy, bezczelnie zakłamani manipulatorzy, w wielu miejscach przy poparciu religijnych fanatyków. To po to mój ojciec walczył przez sześć lat z nazizmem i faszyzmem, aby teraz powstawały karykaturalne odrosty? Po to brał udział w inwazji 81 lat temu, byśmy zastanawiali się teraz nad jej sensem? Po to poległy miliony ludzi w walce o wolność i demokrację, by kolejny raz powracać do punktu wyjścia? Czuję się tak, jakby mi odebrano coś nader cennego. Szyderczo spostponowano!

Chichot historii? Czy chichot pewnego rodzaju ludzi, którzy nie są w pełni ludźmi?



Panorama Quakenbrück namalowana przez mamę, nie wiem dokładnie, kiedy, bo data w dolnym, prawym rogu zamazana. Malowanie eliminowało stresy, których jej życie nie poskąpiło, fot. arch. rodzinne
*

Gdybym miał napisać kolejny list do ojca, napisałbym tak:

Kochany Tato!

Za parę dni będzie 81. rocznica decydującej inwazji na kontynent, w której brałeś udział. Wraz z mamą, wydawaliście mi się w sporej mierze nierealnymi postaciami z czasów Wielkiej Wojny. Przez wiele lat nie mogłem pojąć i odczuć co naprawdę przeżyliście, tym bardziej, że szczególnie Ty nie byłeś skłonny do zwierzeń. Dopiero upływ lat, odmienianych moimi doświadczeniami i przekraczaniem kolejnych progów dojrzałości, coraz bardziej odsłaniał Wasze postacie. Coraz więcej rozumiałem i znajdywałem węzłowe odniesienia, włącznie z wytłumaczeniami, a nawet usprawiedliwieniami, przebiegu Waszego życia. W tym także czasami powodów Twego picia.

Bo przede wszystkim oboje byliście przegranymi zwycięzcami tej wojny, już w momencie podjęcia decyzji powrotu do Polski, gdzie zasiedlił się komunizm, w sowieckim wydaniu. Być przegranym lub wygranym niesie klarowną sytuację, z którą można się nawet

pogodzić. Być przegranym zwycięzcą przynosi gorycz i poniżenie, których przez wiele lat w PRL doświadczaliście. Tym bardziej, że mieliście oboje moralne zasady. Choć byliście zarazem pozbawieni sztywności owych zasad, sztywności wpędzających ludzi w ekstremalne zachowania i oceny. To jakim jestem, co od Was nabyłem, co Wam zawdzięczam, czym w wielkim stopniu mnie nasyciliście, za to wszystko jestem Wam coraz bardziej wdzięczny.

Jako dzieciak nie rozumiałem Waszych traumatycznych przeżyć, do momentu, gdy w stalinowskich czasach stałem się podejrzany – bo mama w AK i Powstaniu, a Ty w polskim lotnictwie, w Anglii. Największą traumą była brutalna atmosfera w szkole oraz wyzywanie mnie od „Hitlera", z powodu mego urodzenia się w Niemczech. Nie wiedziałem jak to wytłumaczyć, jak się wybronić z owego odium, którym mnie z upodobaniem obciążano, nawet za przyzwoleniem sporej liczby nauczycieli, głównie tych z ZMP. Bo mieli do czynienia z synem wroga klasowego, ze zgniłymi i podejrzanymi inteligentami z przedwojennymi nawykami. Któregoś dnia, wreszcie zdołałem Wam to powiedzieć, choć ze wstydu zataiłem prześladowania. Po Waszej wizycie w szkole, inwektywy ustały. Lecz prześladowania i poczucie odmienności ciągnęło się za mną do końca szkoły podstawowej i początków liceum.

Zdołałem tak wiele z siebie zrzucić, otrząsnąć się pod koniec

liceum, a potem na studiach. Tak jak Wy, nie robiłem z siebie ofiary, choć przeżyłem parę mocnych stresów, podłamań i tkwień w niemal beznadziejnej sytuacji. I zdaje mi się, że tak jak Wy, zdołałem za każdym razem się odbudować, coś zyskać i być żywym, a nie tylko żyć.

Tobie Tato, też się powiodło, bo wreszcie doczekałeś się upadku komuny, bycia w pełni zwycięzcą. Zyskałeś uznanie i częściowo wewnętrzny spokój. Częściowo, bo niemal do końca nie zdołałeś się odciąć od alkoholu. Lecz od 1983 ułożyłeś sobie życie z inną, o wiele młodszą kobietą, którą poślubiłeś w dwa lata później. Gita, moja macocha, była przemiłą osobą. Porządkując rzeczy po niej odkryłem, że starannie przechowała nasze rodzinne pamiątki. Skłoniło mnie to do poszukiwań i dzięki Internetowi odnalazłem cały Twój szlak bojowy, od momentu ewakuacji z Krosna. Znalazłem nawet zdjęcia statków, i to z tamtych lat, którymi zmierzałeś z Rumunii do Libanu, potem Francji, a po jej upadku do Liverpool. I odnalazłem nazwę i zdjęcie statku, którym przypłynęliśmy do Gdańska.

Chciałbym Ci powiedzieć, że w ubiegłych latach, gdy za każdym razem po przyjeździe do Polski Gitę odwiedzałem, dość często i bez skrępowania wspominała, że mówiłeś jej, iż moja mama była największą miłością Twego życia.

Może to mnie czyni mocnym i charakternym, bo jestem

dzieckiem miłości. Z perspektywy mojej starości, do której już dotarłem, patrzę na Waszą miłość znaczoną tragicznym rysem. Przeżyć wojennych, potem lat życia w Polsce, z Twoim alkoholowym problemem i coraz większym rozjazdem wzajemnych oczekiwań i odkrywania, że na pewnych polach niezbyt do siebie pasowaliście. A w miarę upływu czasu, i kolejnych kieliszków, to się pogłębiało. Również między nami, włącznie z mocnym konfliktem, który spowodował piętnaście lat przerwy w naszych kontaktach. Nie tylko z powodu mego wyjazdu z Polski.

Pamiętam także inne Wasze opowieści, o tym jak po zakończeniu wojny zachłysnęliście się życiem, jak wspólnie z żołnierzami innych armii szaleliście w Niemczech i we Francji, a potem w Londynie.



Mama z ojcem na ulicy Merylebone w Londynie – 5 marzec, 1947, u schyłku okrutnej zimy 1946/1947, która omal nie pochłonęła mamy i mnie na statku zdążającym do Tilbury. Gdy w liceum zaprzyjaźniłem się z mamą, powiedziała mi, że na tym zdjęciu byli na „pod gazem”, po wyjściu ze spotkania z przyjaciółmi. Ale to już inne historie – zima i ich powojenne zachłystywanie się życiem. Młodym życiem, choć tak okrutnie przeoranym, fot. arch. rodzinne

Byliście tak młodymi ludźmi, brutalnie i gwałtownie doświadczeni wojną, przyspieszonym dojrzewaniem, które w bardzo wielu przypadkach wcale nie jest wskazane ani pożądane. Ten epizod był stanowczo za krótki, nawet fakt niezmiernej ulgi i szczęścia, gdy odnaleźliście ocalałe swoje rodziny i wróciliście do Polski. Któregoś dnia powiedziałeś mi, że gdy przechodziłeś ze

statku, ścieżką pomiędzy płotami, co było pierwszymi krokami na polskiej ziemi, ktoś powiedział „Trzymaj” i podał Ci butelkę wódki. Widzę to dzisiaj jako przeklęty symbol.

Być może krótkie zachłyśnięcie się wolnym życiem, skłoniło Was do tego, aby sobie urządzić w Sopocie, w naszym późniejszym, przepięknie położonym mieszkaniu na skraju lasu, niemal rok poślubny beze mnie. Mieszkałem w tym czasie u dziadków w Warszawie i wiesz, to była także dobra lekcja. Pierwsza lekcja starszych ludzi. I lekcja ich ciepłej miłości, silny związek ocalony z zawieruchy dwóch wojen. Najważniejsze, że dziś już wiem, iż dojrzewanie w relacjach ojciec-syn przebiega w obie strony, co widzę po swoim synu. Trzeba dojrzeć do ojca, ale ojciec musi także dojrzeć do syna. Wtedy zaczyna się przyjaźń i wzajemne zrozumienie.



*

Franciszek Kasprzyk (12.06.1921 – 2.07.1995)

Stopień wojskowy**:** sierżant; Nr służbowy: 784879 R C Kasprzyk F. RFA

Szlak wojenny:

1939 – obrona Krosna, internowanie w Rumunii (obóz w Ramnicu Sarat), ucieczka do Bukaresztu, pobyt w Balcic (obecnie Bałaczik w Bułgarii). Statkiem do Bejrutu i Marsylii

1940 – Lyon. Lotnisko Bron w polskiej formacji lotniczej, po

upadku Francji do Liverpool jako mechanik w polskim dywizjonie 308 (Blackpool, Coventry)

1941 – Brygadzista-mechanik w warsztatach dywizjonu 308. Coventry; roczna Szkoła Techniczna Silników Spalinowych przy zakładach Roll Royce'a w Derby.

1942 – powrót do 308. Lotnisko Northolt

1943 – 1946 -przeniesienie do nowo organizowanej polskiej jednostki lotniczej 411 RSU (*Repair and Salvage Unit* – Jednostka Naprawy i Ratownictwa), przeznaczonej do udziału w Inwazji. Czteromiesięczne szkolenie w Slough k/Londynu, przygotowanie do inwazji na kontynent w składzie 84 grupy. Inspektor wypadków lotniczych oraz d-ca samodzielnej sekcji technicznej.

17 lipca 1944 roku w grupie uderzeniowej na kontynent – zajmowanie i przygotowywanie lotnisk dla aliantów, kilkuosobowa załoga z wyposażeniem (wielka ciężarówka z narzędziami, m.in. betoniarki, dźwigi samojezdne, itp.). Z Normandii przez Belgię i Niderlandię do Niemiec (lipiec 1944 – maj 1945).

Vice komendant miasteczka Quakenbrück w Niemczech (maj 1945 – grudzień 1946). Przeniesienie jednostki 411 RSU do

Anglii, demobilizacja – grudzień 1946

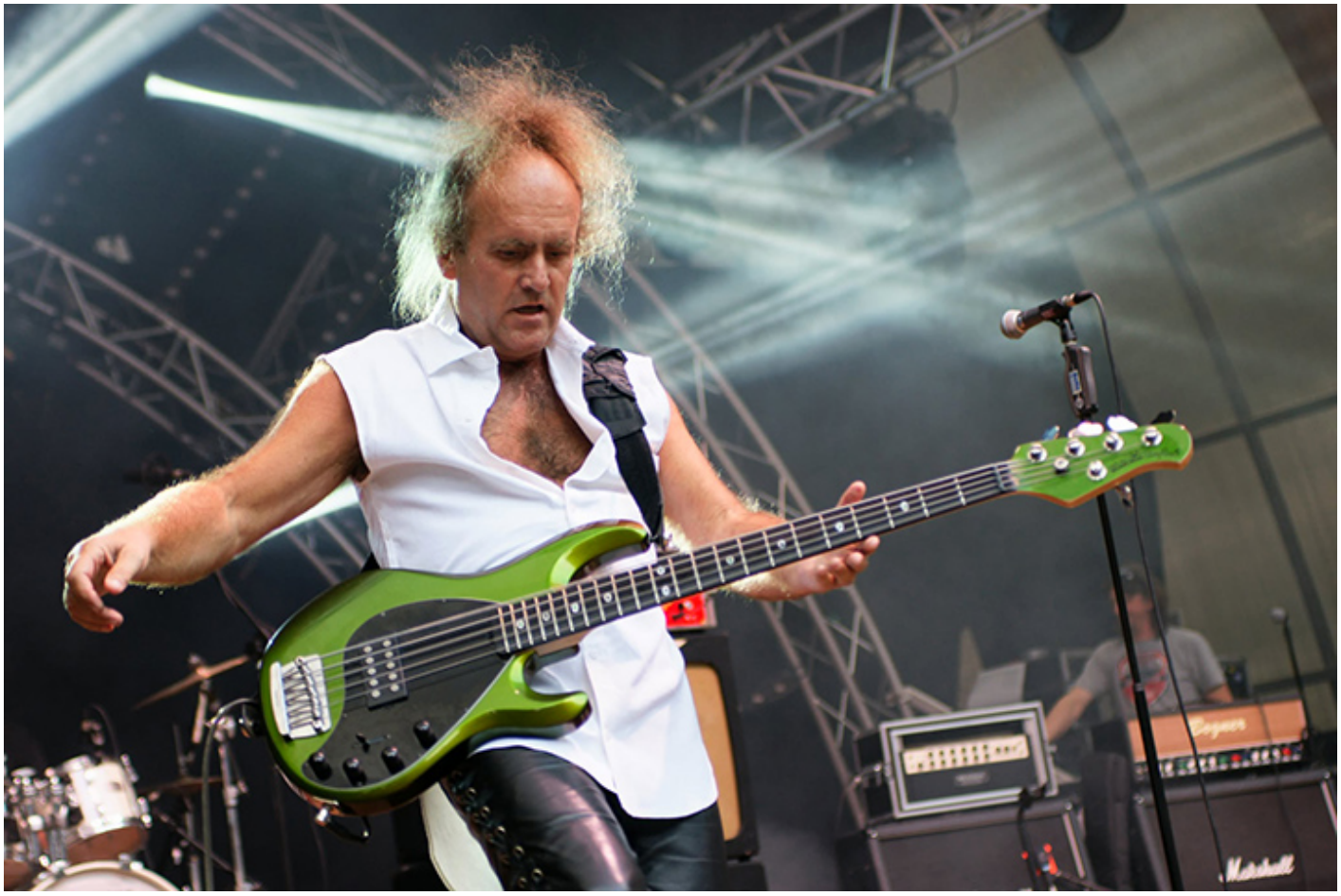
1947 – 18 maj powrót do Polski

Odznaczenia ojca: dwa razy Medal Lotniczy PSP Anglia, Odznaka Bojowa 308 Krakowskiego Dywizjonu Myśliwskiego, 1939/1945 Star, France and Germany Star, Defence Medal, War Medal – RAF Anglia, Croix des Combattants Volountaries – Francja, Medal za udział w wojnie obronnej 1939, Medal Zwycięstwa i Wolności, Krzyż czynu bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, Krzyż Kampanii wrześniowej 1939 – nadany w Londynie, w sierpniu 1985 roku.

Do życia jest potrzebna gitara

Z MIETKIEM JURECKIM, WIELOLETNIM GITARZYSTĄ BASOWYM ZESPOŁU BUDKA SUFLERA – ROZMAWIA MARIA DUSZKA

*



Mietek Jurecki, fot. Wojtek Wytrążek

Maria Duszka:

Interesują mnie źródła, początki… Urodził się pan we Wrocławiu, więc domyślam się, że rodzice mieli korzenie kresowe.

Mietek Jurecki:

Oczywiście. Moi rodzice urodzili się na terenie przedwojennej Polski, a w dokumentach kazano im wpisywać, że w ZSRR. Ojciec

pochodził spod Stanisławowa, a mama z miejscowości Podhajce. Gdy byliśmy dziećmi, to mama tylko raz nam opowiedziała o przeszłości swojej rodziny, bo te wspomnienia za dużo ją kosztowały. Jako kułakom zabrali im majątek. Mama miała 11 lat, kiedy zmarła jej mama, czyli moja babcia. Tydzień później razem ze swoim ojcem i o dwa lata starszą siostrą została wywieziona na Syberię. Wkrótce potem dziadek zaginął. Odtąd moją mamą opiekowała się jej siostra. Spędziły tam pięć lat. Jestem zdziwiony, że po takim dzieciństwie, po takiej traumie moja mama wyszła za mąż i wychowała czwórkę dzieci. Myślę, że dobrze wychowała.

Czy rodzice byli utalentowani muzycznie?

Od kiedy pamiętam mój ojciec śpiewał w chórze w kościele Bożego Ciała, mieszczącym się naprzeciw Opery Wrocławskiej. Ja i moje rodzeństwo też tam śpiewaliśmy.

W pana biografiach zamieszczonych w Internecie nie ma mowy o szkole muzycznej, jest tylko wrocławskie IX Liceum Ogólnokształcące im. Juliusza Słowackiego przy ul. Piotra Skargi. Czyli samorodny talent? Jak to się stało, że został pan profesjonalnym muzykiem?

Gdy miałem cztery lata, dostałem pod choinkę skrzypce – zabawkę. Pamiętam, że były czerwone w białe ciapki. Każde

normalne dziecko chwilę by na tym porzępoliło i rzuciło w kąt. Ja tego nie pamiętam, ale rodzice mówili, że zacząłem grać jakieś melodie usłyszane w radiu. A potem rodzice kupili mi harmonijkę ustną. Moja mama była wychowawczynią w przedszkolu, więc miała cały repertuar dziecięcy opanowany. I ja to wszystko bez najmniejszych trudności umiałem od razu zagrać. A potem wychodziłem na podwórko i bardzo mnie dziwiło, że moi koledzy i koleżanki tego nie potrafili, a to przecież takie proste. Kiedy byłem już w szkole podstawowej, mój ojciec zrobił mi taki statyw, który zakładałem sobie na szyję i grałem równocześnie na harmonijce i gitarze. Z własnej inicjatywy do nóg przyczepiłem sobie janczary, takie dzwonki, jakie koniom zakładają zimą podczas kuligu. Stukałem nogą, grałem na gitarze i harmonijce – albo śpiewałem, na zmianę. I już byłem „one man band" – choć nie znałem jeszcze wtedy takiego określenia. I w ten sposób grałem na akademiach szkolnych. W podstawówce zagrałem pierwszy raz w życiu z zespołem na zabawie sylwestrowej. Bardzo często grywałem też wtedy na weselach. Za pieniądze zarobione na jednym z nich zaprosiłem kiedyś całe podwórko do wesołego miasteczka. Wszyscy bardzo dobrze się bawili, niektórzy aż do… wymiotów. A ja bardzo się cieszyłem, że mogłem im to zafundować. Nie myślałem o jakiejś odpowiedzialności – jak to dziecko.

Mieszkaliśmy przy ulicy Kościuszki, róg Kołłątaja, czyli kilkadziesiąt metrów od Klubu Studenckiego „Pałacyk". To też

miało jakiś wpływ, bo słyszałem od dziecka, że tam coś się dzieje w tym „Pałacyku”. Byłem ciekawy, podchodziłem pod okna – ktoś tam stał z gitarą elektryczną i grał, a mnie to fascynowało.

W późniejszych latach podstawówki założyliśmy z kolegami zespół: akordeon, gitara i tamburyn. I graliśmy piosenki zespołu Breakout. Kupiliśmy cztery głośniki pięciowatowe – to wtedy już było głośno. Najpierw występowaliśmy na akademiach szkolnych, a potem trafiliśmy do Domu Kultury Kolejarza, który mieścił się na pierwszym piętrze Dworca Głównego we Wrocławiu. I tam były już gitary elektryczne. I instruktor, dzięki któremu jestem zawodowym muzykiem. Nazywał się Marian Konieczny; Janek Borysewicz też go dobrze wspomina. Mieliśmy zespół amatorski i pan Marian dał nam nuty przywiezione z NRD. Z bardzo trudną partią gitary basowej. To były czasy, kiedy na tym instrumencie w zespole grał najgorszy muzyk, bo tej gitary nie było słychać, solówek się wtedy nie grało. Ale ta partia była trudna i nasz basista nie mógł jej zagrać. Pan Marian kazał mi spróbować. I powiedział: „To ty będziesz grał na basie”. I życie mi zmarnował (śmiech).

Nie poddawałem się, grałem dalej na gitarze. Tylko jak występowaliśmy na przeglądach, na które nasz dom kultury musiał wystawić ekipę, to grałem na gitarze basowej. A potem już zacząłem wstępować z kolegami z liceum; zawsze grałem ze starszymi od siebie, bo byłem zdolny. Najpierw w pierwszej

klasie grałem na bębnach z ludźmi z czwartej klasy. A potem ze starszymi kolegami założyliśmy zespół Ekspres i zrobiliśmy na początku test, jakiej muzyki chcą słuchać młodzi ludzie, którzy będą przychodzić do Domu Kultury Kolejarza. No i oczywiście odpowiadali, że Slade, Deep Purple, The Rolling Stones, węgierski Locomotiv GT. Zebraliśmy te informacje i nauczyliśmy się grać tych wszystkich rzeczy. I wtedy na naszych koncertach bywały dzikie tłumy. Bo graliśmy to, czego ta młodzież chciała słuchać.

Mój ojciec zarabiał dotychczas dość dobrze jako kierownik techniczny we wrocławskich Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego. I nagle ta jego pozycja mistrza świata i jedynego żywiciela rodziny zaczęła się lekko chwiać, ponieważ ja grając w piątek i sobotę na koncertach rockowych, zarabiałem więcej od niego.

Pewnego dnia do Domu Kultury Kolejarz przyszedł Alek Mrożek. To był najważniejszy gitarzysta rockowy we Wrocławiu, muzyk – legenda. Do dzisiaj jestem mu wdzięczny, bo to on mnie zaprosił do zespołu Nurt i dzięki niemu zacząłem grać profesjonalnie. Tylko nieszczęście polegało na tym, że on chciał, żebym grał na basie.

Wtedy po raz pierwszy w życiu pojechałem na kontrakt zagraniczny do NRD. Tam zakochałem się w szesnastoletniej

Niemce. Ona była potem u mnie nawet w domu ze swoją matką. Moi rodzice byli przerażeni… ale to wszystko było dawno temu. Podczas koncertów w NRD doszło do nieporozumienia. Niemcy myśleli, że jesteśmy zespołem folklorystycznym. I zorganizowali nam koncert w… ogrodzie zoologicznym. Scena była umiejscowiona pomiędzy olbrzymią klatką z sępami, a wybiegiem dla niedźwiedzi. Jak myśmy rozstawili ten swój sprzęt, to te zwierzęta wpadły w furię. Sęp latał po całej klatce, pióra fruwały, a niedźwiedzie próbowały sforsować bariery i dostać się do muzyków. Niezapomniany koncert!

Uczestniczył pan także w nagraniach piosenek Kabaretu Elita w Polskim Radiu Wrocław. Na przykład „Do serca przytul psa” …

3 października mam urodziny, a następnego dnia miałem koncert z okazji 50-lecia pracy artystycznej, więc zaprosiem Jurka Skoczylasa z Kabaretu Elita po to, żeby zagrać mu tę piosenkę tak, jak powinienem to zrobić pół wieku temu, gdy traktowałem granie na gitarze basowej na zasadzie zawodów sportowych – kto szybszy, ten lepszy.

Mam na koncie parę takich sytuacji, kiedy piosenka jest bardzo ładna, tylko basista zwariował. Na przykład z rumieńcem wstydu zobaczyłem kiedyś w telewizji festiwal w Opolu. Grałem wtedy w Alex Bandzie. No i wychodzi Włodzimierz Korcz, jest krzesełko,

lampka, pulpit, nuty, Alicja Majewska śpiewa – wszystko się zgadza. Tylko ja właśnie psuję im tę całą piosenkę. Bo wtedy było modne takie strzelanie na gitarze basowej… To jest historia, tego się nie da zmienić! Skasować tamto, nagrać jeszcze raz – nie da się! Nie powtórzymy festiwalu w Opolu czy Sopocie sprzed lat.



Mietek Jurecki, fot. Wojtek Wytrążek



Mietek Jurecki, fot. Wojtek Wytrążek

*

Występy z Kabaretem Elita, a granie rockowe, to były chyba dwie różne sprawy...

Ale ja całe życie wolę zagrać dobrze polkę niż słabo rock and rolla. Muzyka jest dobrze wykonywana albo niedobrze. I to jest podstawowa dla mnie różnica. Nieważny jest gatunek. Ja gram

to, co mi się podoba, w czym się dobrze czuję.

Niedawno zagrałem koncert z Wojtkiem Klichem. On z Anią Wyszkoni grał przed Markiem Radulim. „Czy ten pan i ta pani są w sobie zakochani?" to jest jego piosenka. Serce całe wkładamy w tę muzykę. Jesteśmy zachwyceni tym, co z siebie wydobywamy, z tych swoich głów, rąk. I ludzie to widzą, że to nie jest oszustwo. Że nikt się nie nudzi. Ja od dawna nie wychodzę na scenę po to, żeby się zastanawiać, czy ja teraz powinienem się uśmiechnąć do ludzi. Zwłaszcza jak z Hołdysem graliśmy w Perfekcie, to myśmy wychodzili na scenę po to, żeby publiczność powalić na kolana. I to się udawało, bo też Zbyszek miał przepiękne piosenki. W każdym razie jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że grałem i nagrałem kosmiczne ilości płyt, piosenek, zagrałem ileś tysięcy koncertów, chyba mam wszystkie możliwe do zdobycia nagrody w Polsce – powiem bardzo skromnie.

A pamięta pan swoją pierwszą kompozycję? Kiedy to było?

Zapomniałem o tym, teraz mi pani przypomniała. To było chyba w 1976 r. Mój ojciec usłyszał w radiu, że zapowiedzieli piosenkę skomponowaną przeze mnie, wyciągnął do mnie rękę i pogratulował mi. Nie pamiętam, jaka to była piosenka, ale pamiętam, jak się nazywał realizator: Jerzy Rezler. To postać we Wrocławiu po prostu kultowa. On nagrywał przeglądy tych wszystkich zespołów dziecięcych, w których ja występowałem. A

potem nagrał tę moją kompozycję. Na jeden mikrofon – ale Beatlesi też nagrali w ten sposób największe hity. To dzisiaj jest tak, że młody człowiek nie ma prawie niczego do zaproponowania, ale od razu stawia warunki. Na przykład potrzebuję młodego gitarzysty, to on nie pyta, co trzeba zagrać, tylko za ile. Poza tym bez Marshalla to nie zagra. Ja pamiętam z młodości, że wystarczało, jeśli ktoś miał zwykłe domowe radio, takie z głośnikiem i lampką – magicznym okiem okrągłym. Gdybym w ten sposób podchodził, że na razie nie mogę grać, bo nie mam Gibsona i Marshalla, czyli gitary i wzmacniacza światowej klasy, no to bym nigdy nie zagrał nic. W ogóle czasy się zmieniły. Zmieniła się też rola muzyki. Kiedyś o co innego chodziło. Dzisiaj paru gości w garniturach usiłuje piosenkę sprzedać jak worek ziemniaków. I normy są takie, że po ośmiu sekundach musi się zacząć pierwsza zwrotka, a piosenka nie może mieć więcej niż trzy minuty. Gdyby ktoś taki kilkadziesiąt lat temu decydował o twórczości Pink Floyd, Led Zeppelin, to w ogóle całej tej światowej muzyki by nie było.

Dlaczego tak się dzieje? I czy można z tym coś zrobić?

Mogą coś zrobić tylko artyści. Ten lep na muchy, który te koncerny zagraniczne tutaj przywiozły – że „tutaj podpisz papierek i zaraz będziesz gwiazdą”, to jest po prostu chore. Tak samo jak chore są te telewizyjne konkursy typu „talent show”. Że wygrał w konkursie, to już ma wymagania, bo on wie, jak ma być.

Bo nasłuchał się tych bzdur. A tu o co innego chodzi.

Na szczęście są jeszcze młodzi, rozsądni ludzie – jest ich nieprawdopodobnie dużo. Ja przez 13 lat organizowałem Festiwal „Solo Życia”. Co roku nagrywałem podkład muzyczny z paroma hakami, aby ci mniej zdolni od razu się na tym przewrócili. Do tego podkładu każdy muzyk z całego świata mógł nagrać solówkę, najlepiej jak potrafi. Dlatego to się nazywało „Solo Życia”. Na początku jeszcze nie było MP3, więc na płytach CD nam nagrania przysyłali. Myśmy tego słuchali i wybieraliśmy najlepszych – od pięciu do ośmiu osób. I oni potem przyjeżdżali. Nie na własny koszt, bo to nie był jakiś oszukańczy festiwal, tylko prawdziwy. Ja nigdy nie podpisywałem umowy na wyłączność, że jestem „właścicielem” jakiegoś człowieka. A tak to się odbywa gdzie indziej. Ci wybrani przez nas grali w finale konkursu na żywo z profesjonalnymi muzykami. I ze mną też. Ktoś wygrywał i potem ja go holowałem po innych festiwalach, na których występowałem. On poznawał branżę i jeśli miał trochę szczęścia, to stawał się jej członkiem. Jeśli to był prawdziwy talent, to wszyscy byli zachwyceni. Ja parę razy dopłaciłem do takiego festiwalu. Bo kiedy taka impreza staje się ogólnopolską i są zgłoszenia nawet z Anglii, to władze danego miasta mówią: „E, on to już da sobie radę, to teraz się zajmijmy czym innym”. Ten mój festiwal miał hasło: ”Lepiej grać niż pić lub ćpać”. To wszystko miało ręce i nogi. Na przykład Jimmy Hendrix, Janis Joplin, czy Rysiek Riedel… Wyobraźmy sobie, jak oni by dzisiaj

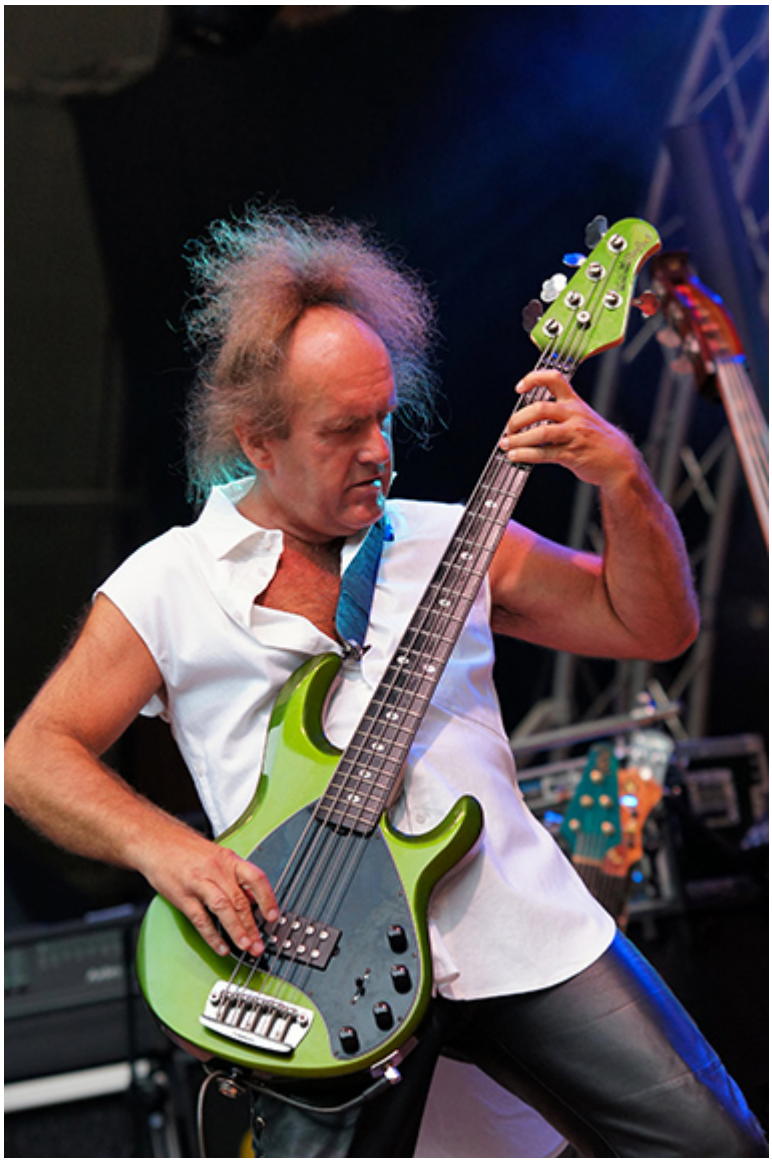
grali, gdyby nie to, że niestety zainteresowali się czym innym. Zawsze proponuję muzykom, którzy twierdzą, że nie mogą na trzeźwo wyjść na scenę: „Skoro tak uważasz, to dobrze: napij się, zagraj, nagraj to i posłuchaj potem na trzeźwo". Efekt murowany!

Ma pan za sobą doświadczenia z używkami?

Oj, nie byłem przez całe życie święty. Wręcz przeciwnie! Był taki czas, że byłem bohaterem połowy opowieści o naszej branży. Dzisiaj mogę się tylko rumienić. Wtedy koledzy gratulowali mi takich idiotycznych pomysłów. Ja bym po prostu na trzeźwo nawet na to nie wpadł, ale po pijanemu, to nie dość, że wpadłem, to jeszcze zrobiłem. No katastrofa! Ale na szczęście mam to za sobą. I to już kilkadziesiąt lat… To znaczy, ja już przestałem komukolwiek przysięgać – czy Bogu, czy żonie, czy sobie – że nigdy. Nie ma nigdy! Ja nie wiem jak będzie, natomiast – na razie nie. Mój kolega mi wytłumaczył, jak na początku jakieś próby podejmowałem… Dwa lata zaciśnięte zęby, że nie będę… I tak z żalem mu powiedziałem, że ja już się chyba nigdy normalnie nie napiję. A on mówi: „Wiesz co, a ja nigdy nie będę lotnikiem ani czołgistą". Dla niego to było tak nieważne, jak bycie czołgistą. Więc zacząłem się zastanawiać dlaczego dla mnie to jest ważne. I w momencie, kiedy się zacząłem zastanawiać, to wszystko puściło. No i już. Oczywiście to wszystko nie jest takie proste, bo to trwało trochę, ale jestem dowodem na to, że jest to możliwe.

Można być rockmanem niepijącym?

Łatwo nie jest. Jak z Hołdysem zacząłem grać… Idziemy gdzieś tam, ja proszę kawę. Zbyszek na to: „No co ty, muzyk rockowy i kawa? Nie rób obciachu!”



Mietek Jurecki, fot. Wojtek Wytrążek

Dlaczego przeprowadził się pan w Wrocławia do Lublina?

Przez 15 lat dojeżdżałem do roboty do Lublina, do Budki Suflera.

Tomek Zeliszewski, perkusista Budki Suflera, przeprowadził się z Tarnowa do Lublina w wieku 18 lat. No i on tłucze się już 50 lat w tym zespole. Jako jedyny muzyk nagrał wszystkie płyty z Budką. Ja tam zacząłem grać w 1981 r. Potem Marek Raduli przeprowadził się z Kędzierzyna – Koźla do Lublina. I on mi poradził: „Przeprowadź się do Lublina, będziesz częściej w domu". Myślę: "Co on do mnie gada? Jak ja będę częściej w domu, jak dom mam we Wrocławiu?" I dopiero w Ameryce zobaczyłem, że ktoś mieszka na przykład w Nowym Jorku i nagle dostaje pracę w San Francisco. Wystawia przed garaż na sprzedaż wszystkie rzeczy, których chce się pozbyć. Potem bierze jakąś przyczepę, zabiera to, co najbardziej potrzebne i za trzy dni jest tam. I nie robi z tego żadnej tragedii. To tylko u nas jest tak, że chałupa się wali na głowę, ale dziadziu tu mieszkał, to ja też tu muszę. Nic nie muszę. Ja się przeprowadzałem wielokrotnie. Jedna dobra rzecz wynika z przeprowadzek: że nie wlecze się za sobą tego bałaganu, tych wszystkich rzeczy, bez których, jak się okazuje, można żyć. Selekcja następuje.

Mój znajomy o korzeniach wileńskich, profesor łódzkiej ASP Robert Jundo, kiedy się przeprowadzał do nowego domu, to zaprosił przyjaciół do tego starego i poprosił ich, aby brali – co tylko kto chce.

Ja tak samo rozdałem meble. Po co ja mam z sobą taszczyć jakieś rzeczy niepotrzebne. Gitara jest potrzebna do życia. A reszta…

Moja żona była w szoku, kiedy zobaczyła, że ja wyjeżdżam z Hołdysem na pół roku do Ameryki i mam w reklamówce: maszynkę do golenia, szczoteczkę do zębów i jakieś tam spodenki… No w razie czego, to przecież sobie kupię. Po co ja mam to nosić z sobą? Parę razy jeździłem na pielgrzymki do Ziemi Świętej. Ludzie z jakimiś walizami… Tak patrzą na mnie i pytają: „A gdzie pan ma bagaż”? A ja pokazuję na tę reklamówkę. Może ktoś musi się przebierać codziennie w coś innego. Ja nie muszę. Ja jestem tak wytresowany, że jak wjeżdżam do hotelu i zdejmuję skarpetki, to od razu je piorę i rzucam na kaloryfer albo na słońce. Na drugi dzień są już suche. Na wszelki wypadek mam jeszcze drugie. No oprócz ciuchów na estradę. Jakieś spodnie na zapas – jak mi pękną, żebym nie chodził w dziurawych. Tak naprawdę do życia bardzo mało rzeczy jest potrzebnych. Szczęście moje między innymi na tym polega, że się nie przywiązuję do czegoś tak na zawsze. Że tak zawsze będzie. Ja nie wiem jak będzie jutro.

Ale to jest chyba typowe dla potomków przesiedleńców z kresów. Ja mieszkam w centrum kraju, ale w latach osiemdziesiątych przebywałam we Wrocławiu. I zauważyłam ze zdziwieniem, że tam często ludzie mówili: „A, nie ma co remontować tych domów, mieszkań, bo nie wiadomo, czy nam ich nie zabiorą”. Mieli w sobie taki lęk, poczucie, że są tutaj chwilowo.

– Ale to nie jest przypadkowe. Bo ci ludzie, którzy tam mieszkali, to zostali wywiezieni ze swoich domów, tak jak i moi rodzice. Więc do czego oni mieli się przyzwyczajać? Do jakiegoś poniemieckiego domu?

Nie jest pan materialistą?

Ludziom się we łbach przewraca, mają wymagania. To dotyczy muzyków, że bez super sprzętu nie zagra. To samo dotyczy warunków życia. No bo jak to? Auto bez klimy? A kiedyś nie było klimy. Kiedyś był mały fiat, w którym trzeba było siedzieć krzywo, żeby utrzymać kierownicę. I ja byłem szczęśliwy, że jadę.

Motorem działań wielu ludzi jest brak wyobraźni i pieniądze. Można tam jeszcze parę rzeczy znaleźć, ale to jest podstawa. Brak wyobraźni, bo jak ktoś ma auto, to chce mieć helikopter. Potem chce mieć rakietę, statek i cały czas jest mu mało. A potem to już chce mieć władzę nad światem. Ma tylko jeden problem, czyli… nieśmiertelność. Prędzej czy później się okazuje, że trumna nie ma kieszeni i nie ma gdzie schować tego, co gość nazbierał przez całe życie. I nagle to nie ma wartości takiej, jakby się wydawało. Bo potem jest „panu już dziękujemy” i „kawalerka w Zakopanem”.

Kawalerka metr na dwa.

Przecież mnie wielokrotnie było stać na różnego rodzaju fanaberie. Dwa razy w życiu taką fanaberię sobie spełniłem. Jedna dotyczyła muzyki. No chyba mam najdroższe gitary basowe, jakie są w Polsce. Chciałem kupić gitarę, na której gra jeden z moich „bogów", czyli Stanley Clarke z zespołu Return to Forever. Chciałem ją mieć tak z ciekawości – chociaż od dawna wiem, że nie zagram na niej lepiej, bo albo się coś umie albo nie. Czy ktoś będzie kopał łopatą stalową, srebrną czy złotą, to przecież ma tylko takie znaczenie, że droższe są mniej trwałe. Jechałem do Ameryki i już nie wziąłem ze sobą gitary, bo nowa czekała na mnie w Chicago. Cała obsługa sklepu się zbiegła, żeby zobaczyć, że jakiś szmaciarz z Polski sobie coś takiego kupuje. I wziąłem ją, i zagrałem. I myślę: „To przecież w domu ja mam lepszą gitarę". Ale już… chciałem, to mam. Doceniłem ją dopiero w studiu, jak zagrałem i tak już zostało do końca – nikt niczym nie kręcił, nie kombinował. No to jednak jest różnica.

No i druga fanaberia to auto. Ja raz w życiu kupiłem nowe auto w salonie. Nigdy więcej nie kupię. Zwłaszcza przy droższych samochodach, to wiadomo, że nawet jak się coś zepsuje, to tego właściciela będzie stać na naprawę. W każdym razie nówka ze sklepu jest przereklamowana. Nigdy więcej! Ferrari też jechałem. Mocno przekroczyliśmy prędkość na obwodnicy Tarnowa. Jak potem zwolniliśmy, to nas złapała policja. A potem staliśmy na czerwonym świetle, jak wszyscy. Albo na przejeździe kolejowym. To pije strasznie benzynę i hałas jest w środku. No i

oczywiście tam się nie da już gitary włożyć, bo nie ma gdzie. No gitarę może od biedy tak, ale wzmacniacza już na pewno nie. No i fajnie wygląda. Ale gdzie ja miałbym tym pojechać? I gdzie to zaparkować na ulicy? Zaraz będzie płacz, bo ktoś gwoździem przejedzie. A co druga osoba, to będzie chciała wejść do środka i sobie zdjęcie zrobić. Po co? Znam paru właścicieli drogich samochodów. Te wszystkie nowości i te drogie rzeczy są przereklamowane.

A tak à propos techniki… Skąd ksywa Mechanik?

A to Bogdan Olewicz wymyślił. Dawno temu – jak sam grałem i śpiewałem. Zresztą do dzisiaj grywam takie koncerty. I on mówi: „No, są różne zawody. Jest hydraulik, jest szlifierz, ślusarz… A taki co umie wszystko zrobić, to mechanik. A ty grasz na wszystkich instrumentach – no to mechanik". No to takie średnio dowcipne, ale wtedy patrzyłem na niego jak na Pana Boga. Bo to przecież facet, który napisał „Nie płacz Ewka", „Niewiele ci mogę dać" i „Autobiografię"… Ale nie brałem pod uwagę, że jak z nim zaczęliśmy pisać piosenki, to ja w międzyczasie nagrałem jakieś Jolki, dmuchawce i inne rzeczy. I też coś tam wiem na temat muzyki. A to może kwestia wychowania, bo Bogdan jest starszy ode mnie, a ja z domu wyniosłem szacunek dla starszych. Często do mnie ludzie starsi mówią na „ty". No to trudno mi do nich inaczej się zwracać niż „proszę pana". No ale to z wiekiem przechodzi. A też już coraz trudniej znaleźć starszego od siebie.



Mietek Jurecki, fot. Wojtek Wytrążek

Jak rodzina znosi pana tryb życia? Żona od początku ta sama?

Żona ta sama – od 42 lat. Trzy córki. Na szczęście moja żona ma świra na punkcie swojej pracy, takiego jak ja na punkcie swojej, więc się rozumiemy. Jest psychoterapeutką. Ona wychodzi rano, wraca w nocy, bo mówi, że musi ludziom pomagać. Jak byliśmy 8 lat po ślubie, to żona mi wyliczyła, że przez ten czas 2 lata byłem w domu, więc 6 byłem poza. Ale to jest też przyczyna, dla której się nie rozwiedliśmy. Przychodzę do domu i mówię sobie: „O, nawet dość atrakcyjna kobitka!” A jak ma się coś zadymić, to ja właśnie wyjeżdżam. I nie ma kiedy się tak naprawdę pożreć.

A córki odziedziczyły po panu talent muzyczny?

To bardzo możliwe, ale… jak były małe, to w pokoiku dziecięcym leżał miś, lala, gitarka i jakiś klawisz. Na szczęście tej gitarki i klawisza za często nie brały do ręki.

Nie chciały iść w pana ślady?

Z daleka to ten zawód wygląda przepięknie: grają, śpiewają, dymy, stroboskopy, autografy, cuda… I jeszcze im za to płacą czasem. Ja wiem, po co wychodzę na scenę. I wiem, jakie są oczekiwania. Nikogo nie interesuje, że na przykład boli mnie brzuch. Tylko mam być zachwycony, że po raz tysięczny wykonuję tę samą piosenkę. I jestem zachwycony, naprawdę. Kilka lat temu graliśmy na Przystanku Woodstock. Na widowni 700 tysięcy. Patrzę, a po horyzont tych ludzi. I to sami młodociani, których nie było na świecie, jak myśmy „Jolkę" nagrali w 1982 r. I te dzieci śpiewały z nami, każde słowo znały. I tak sobie wtedy pomyślałem, że chyba nie całkiem zmarnowałem to życie. I w momencie, kiedy będzie końcówka, a już parę razy ocierka była, to ja na pewno nie będę prosił o jeszcze dwie godziny. Zdaję sobie sprawę z tego, że przeżyłem tyle, że wystarczy na parę życiorysów.

Raz lecieliśmy z Chicago do Phoenix, międzylądowanie było w Denver. No i nad tym Denver nagle turbulencje takie, że samolot

spada po kilka metrów, podnosi się i znowu spada. Faceci krzyczą, kobiety wymiotują, a ja tak przypięty tym pasem myślę: „Acha, to już? Szkoda, bo jeszcze chciałem zrobić to i to”. I wylądowaliśmy. A potem się okazało, że tam tak jest zawsze, tylko nikt nam nie powiedział. A już myślałem, że właśnie: „Panu już dziękujemy”. Parę takich sytuacji przeżyłem. Ja uważam, że jestem szczęśliwym, spełnionym człowiekiem, co rzadko kto pewnie mówi.

Choć jak patrzę z pespektywy czasu, to oczywiście wiele rzeczy bym zmienił w swoim życiu. Na szczęście tego zmienić się nie da. To tylko na filmach tak jest. Że ktoś tam naciśnie jakiś guzik albo pięści zaciska i już się przenosi w czasie, i poprawia sobie to, co mu nie wyszło. To się tak nie da. Bo życie z ideałami pewnie jest nie do wytrzymania.

Trudno pewnie wybrać, ale którą ze swoich piosenek uważa pan za swój największy przebój, albo którą najbardziej lubi.

Ja swoich piosenek nagrałem kilkaset, a skomponowałem tysiące. Ale jedna z tych piosenek odniosła wielki sukces, ponieważ przez 12 lat była wykorzystywana w serialu „M jak miłość”. Wojtek Gąsowski ją śpiewał. To właśnie moja piosenka do tekstu Bogdana Olewicza. To jest akurat sukces bardziej finansowy niż muzyczny. Bo żądanie było, żeby nie była zbyt przebojowa, żeby nie odwracać uwagi od akcji.

Każdy muzyk powie pani, że najlepsze to dopiero nagra. Ja też. Za chwileczkę wychodzi moja kolejna solowa płyta. Na razie dostępna w Internecie – jestem z niej bardzo dumny. Płyta „Kołowrotek" z tekstami Staszka Głowacza. Jest w tych piosenkach trochę o mnie, bo ja Staszkowi opowiadałem o swoim życiu, o rodzicach. Ile oni musieli się ze mną namęczyć! Bo tu Budka Suflera, gorzała, dziewczyny, high life – no żyć, nie umierać. Któregoś dnia ojciec zaproponował, że załatwi mi pracę w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego, bo to granie, to takie niepewne zajęcie. ZNTK już dawno nie istnieje, a ja gram dalej. Przyznaję – to był okres, kiedy trochę im krzywdy zrobiłem. Inna sprawa, że rodzice mieli zupełnie inne oczekiwania. Ja tak naprawdę na studia poszedłem dla nich. Choć nie chciałem dalej się uczyć, bo już grałem zawodowo. Wybrałem Akademię Ekonomiczną we Wrocławiu dlatego, że tam był Klub Studencki Simpleks, w którym mieliśmy próby.

I skończył pan te studia?

A skądże! Do wyboru miałem po pierwszym semestrze albo zdawanie egzaminów, albo trasę koncertową z zespołem jazzowym. Wiadomo, że pojechałem na koncerty. Choć wiedziałem, że mam jeszcze do zaliczenia egzamin z języka rosyjskiego. Kiedy powiedziałem w dziekanacie prawdę, że byłem w trasie koncertowej, to usłyszałem, że tylko zaświadczenie lekarskie się liczy. I oddano mi papiery. No, rodziców to

kosztowało troszkę, bo sobie wyobrażali, że ich zdolny syn… To prawda, byłem zdolny. Chodziłem w liceum do klasy matematyczno – fizycznej. Te wszystkie techniczne rzeczy, to do dzisiaj mnie fascynują. Jak cokolwiek w domu przestanie działać, to rodzina czeka, aż ja przyjadę. Jeśli jestem, to od razu naprawiam – komputer i nie tylko. Teraz młodzi, jak im się wyłączy prąd, to nie wiedzą nic. Ja wiem, że mech rośnie po północnej stronie drzewa i zawsze gdzieś dojdę. A oni już niekoniecznie.

Na koniec zapytam jeszcze o tę oryginalną, jedyną w swoim rodzaju fryzurę…

A mieliśmy kiedyś koncert, był upalny dzień, związałem włosy gumką i… tak już zostało.

Bardzo dziękuję za rozmowę. Nawet nie musiałam zadawać dużo pytań. Miło mi się słuchało.

Ja tak mam… Czasem redaktor nie zdąży nawet zadać pierwszego pytania. Staram się opanowywać. (śmiech)

Wywiad zosta przeprowadzony we wrześniu 2024 r.

Zobacz też:

> Wilno, czy ty pamiętasz mnie?

> Między cyrylicą a szwabachą – Stanisław Klawe (1).

> Między cyrylicą a szwabachą – Stanisław Klawe (2).

> Marceli Nencki – stypendysta Alfreda Nobla